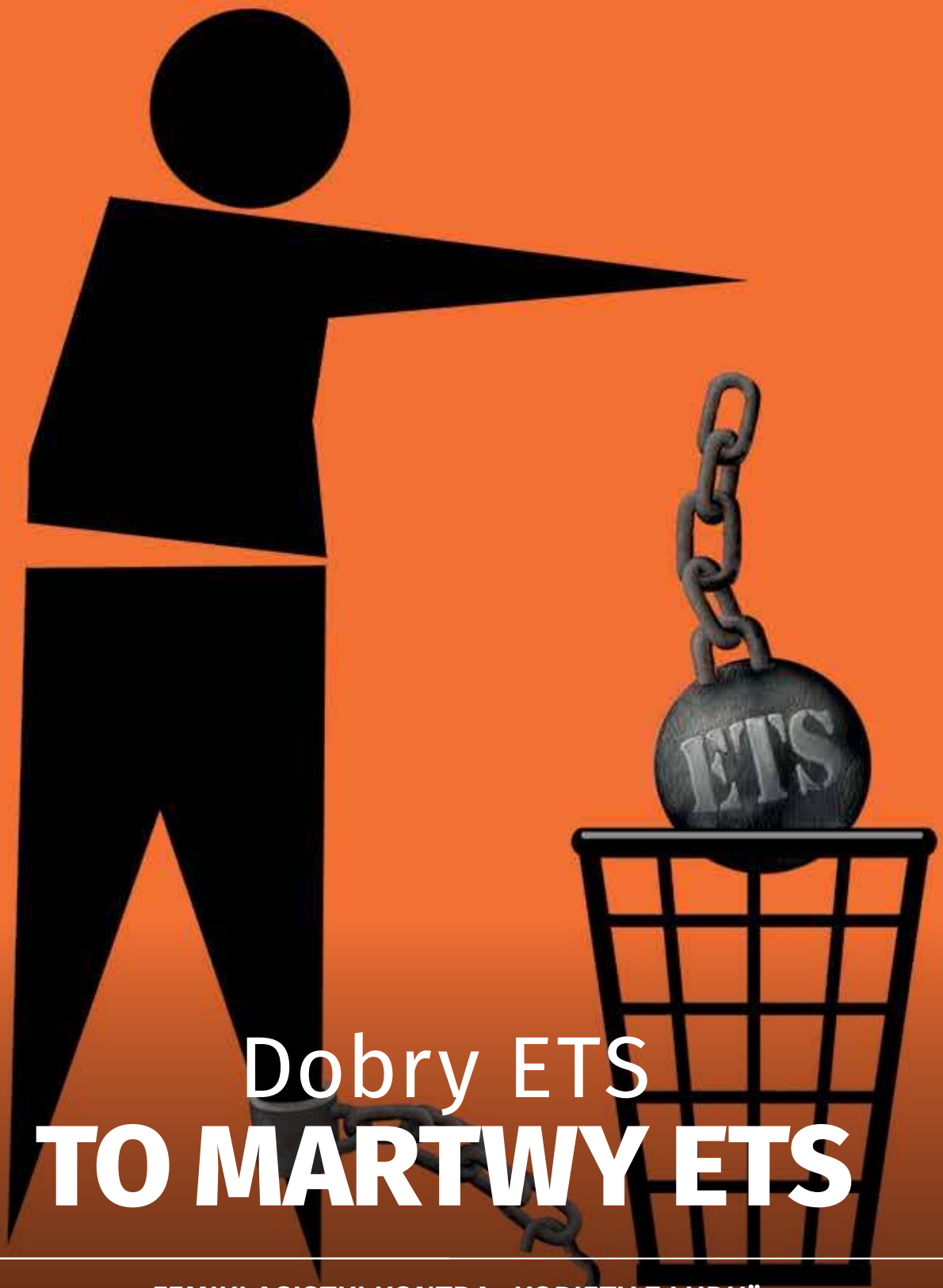
NR 9 (1933) 3 MARCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

Dobry ETS
TO MARTWY ETS

- FEMIKLASISTKI KONTRA „KOBIETY Z LUDU”
- ZWIĄZKI Z AMERYKI PRZECIW UMOWIE Z MERCOSUR

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

eprasa.pl e8f8128fed

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



NIEDZIELA
10:35
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl e8f8128fed



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Unijny system handlu emisjami ETS jest wampirem. Różnica tylko taka, że w XIX-wiecznej powieści mistrza grozy Brama Stokera hrabia Dracula wysysał krew z szyi żywych istot ludzkich. XXI-wieczny zielony Dracula żywi się zaś sokami życiowymi gospodarek Unii Europejskiej. I jednego, i drugiego demona wykończyć trzeba dokładnie w ten sam sposób. Należy mu wbić w serce osinowy kołek. Inaczej nie zaznamy spokoju nigdy.

Tu jednak analogie się kończą. Książkowy Dracula był anglofilem, który ruszył do Londynu w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Tam zaczyna go tropić pogromca wampirów profesor Van Helsing. Co było dalej, przeczytajcie sami. Z ETS-em będzie trudniej. Wymuszający dekarbonizację system unijnego handlu emisjami został bowiem napisany tak, by nie dało się go tak łatwo pokonać.

Pierwszym zabezpieczeniem był jego pełzający charakter. Gdy ETS wchodził w życie w latach 2005–2008, niewielu godzących się na niego polityków wiedziało w ogóle, co to takiego. Dekarbonizację przedstawiano jako zabieg kosmetyczny – konieczność lekką, łatwą i przyjemną. Realna cena zielonej rewolucji ujawniała się stopniowo i uderzała najpierw w niektóre branże gospodarki (takie jak górnictwo czy hutnictwo) oraz związane z nimi słabsze grupy społeczne. Gdy pracujący tam ludzie zaczynali bić na alarm, napuszczano na nich resztę społeczeństwa. Mówiono o schyłkowym charakterze przemysłu ciężkiego i o roszczeniowości branży górniczo-hutniczej. Te śpiewki znamy z polskiego podwórka aż za dobrze. Były obrzydliwe, ale działały. Wampir mógł upijać się krwią na pełnym legalu.

W połowie ubiegłej dekady ETS zaczął realnie wpływać na podwyżki cen prądu dla innych gałęzi biznesu oraz dla obywateli. Ale tu niespodzianka. Nie ma winnego! Bo nagle okazało się, że wampira dekarbonizacji zatrzymać się nie da. Bo przecież cenę uprawnień do emisji wyznacza mityczny rynek. A do tego zyski ze sprzedaży uprawnień zasilają przecież nie żadną unijną kasę, tylko budżety państw członkowskich. To też była oczywiście pułapka. Obliczona na to, by demokratyczni politycy nie mieli interesu w tym, by w ETS uderzać. Ich rolą miało być pilnowanie i tłumaczenie, że Dracula jest w sumie bardzo sympatyczny. I że z bliznami na szyi też da się żyć.

Wymuszający dekarbonizację system unijnego handlu emisjami został napisany tak, by nie dało się go tak łatwo pokonać.

Do tego dochodził terror ideologiczny. Fabrykowany konsens dotyczący zmian klimatu („wszyscy naukowcy są zgodni, że…") oraz klimatyczny alarmizm oparty na podkręcaniu danych meteorologicznych (teraz wychodzą na jaw). Znamy, znamy, znamy.

My możemy mieć gorzką satysfakcję, że Solidarność mówiła, a „Tygodnik…" pisał o tym już 10 czy 15 lat temu. To także polski rząd pierwszy boksował się ze ścianą niezrozumienia na szczytach UE gdzieś od roku 2019, domagając się rewizji ETS. Dopiero dziś zaczyna się budować w Europie jakaś masa krytyczna. Słychać, że jedenaście krajów (w tym Niemcy i Francja) chcą zmian ETS. Włosi na własną rękę podejmują bardzo ciekawe inicjatywy, takie jak niedawna zapowiedź przejęcia przez budżet Italii wszystkich kosztów ETS związanych z produkcją ciepła przez elektrownie.

Trzeba to wszystko obserwować. Także po to, by nie dać się oszukać półśrodkami w postaci częściowych reform i chwilowego zawieszenia dekarbonizacji. Draculi nie da się namówić do wegetarianizmu. On nigdy nie przestanie gryźć i kąsać.

Tylko kołek w samo serce. Jedyny dobry Dracula – pardon – ETS, to martwy ETS. Ale tak naprawdę martwy. Żeby już nigdy z tej swojej trumny nie wylazł.

MASZYNA DO RYSOWANIA KARNKOWSKI



eprasa.pl e8f8128fed

03.03.2026
WYDANIE Nr
9

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

ETS do kosza



6 **ETS – piąte koło u wozu polskiej gospodarki**

10 **ETS do kosza. Teraz!**

12 **Polityka klimatyczna zaczyna pękać**

16 **Unia, ETS, EDIS. Kto ma rację**

19 **Przebudzeni klimatyści**

22 **Ołowiane żołnierzyki w wojnie interesów**

KRAJ

Quo vadis, Morawiecki? 26
Luka VAT znowu rośnie. Rozmowa z J. Sarnowskim 30
...a miało być spokojniej! 34
SAFE – zabezpieczyć polskie śmigła 38
Rusza Międzymorze 2.0 41

ZAGRANICA

Umowa z Mercosur budzi obawy pracowników po obu stronach Atlantyku 48

SPOŁECZEŃSTWO

Femiklasistki kontra „kobiety z ludu” 52
A mury mówią 56

KULTURA

Nagrywam smutne płyty i jestem wesołym człowiekiem. Rozmowa z M. Franczakiem 60
Claret. Świętość i kłamstwo. Recenzja filmu „Claret” 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68
Pracownicy i pracodawcy solidarnie przeciwko ograniczaniu środków na Fundusz Pracy 70

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności,
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327,
80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

OKRASKA 9
GAC 29
SKWIECIŃSKI 51

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 25
KARUZELA Z BLOGERAMI 37
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 66
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72
PRAWO 73

eprasa.pl e8f8128fed

NSZZ Solidarność



Fundacja Promocji Solidarności

#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ŻĄDAMY

- Zahamowania zwolnień grupowych
- Wsparcia branż kluczowych dla bezpieczeństwa energetycznego i przemysłowego Polski
- Kompleksowej reformy edukacji i nauki, wstrzymania chaotycznych zmian w oświacie
- Przywrócenia i przyspieszenia kluczowych inwestycji strategicznych: CPK, elektrownie atomowe, sieci naftowe i gazowe, port w Świnoujściu, żeglowność Odry
- Ochrony polskiego rolnictwa przed skutkami umowy UE - Mercosur i UE - Ukraina
- Zaprzestania wypowiadania układów zbiorowych pracy i wygaszania praw pracowniczych
- Rozsądnego gospodarowania zasobami naturalnymi, prowadzenia sprawdzonej gospodarki leśnej (bezpieczna dostępność terenów leśnych dla obywateli,zabezpieczenie dostaw dla branży drzewnej)
- Odrzucenia destrukcyjnej polityki klimatycznej (Zielony Ład, Fit For 55, ETS, ETS2)
- Odpowiedzialnej polityki dotyczącej służby zdrowia, z poszanowaniem praw pracowników oraz pacjentów
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Niezwłocznej i realnej waloryzacji płac w sektorze finansów publicznych
- Wstrzymania wdrażania prawa uderzającego w bezpieczeństwo ekonomiczne polskich pracowników i ich rodzin
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Zabezpieczenia interesów polskich firm i bezpieczeństwa państwa polskiego po wojnie na Ukrainie

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

ETS – piąte koło u wozu polskiej gospodarki



Nie trzeba przystawiać unijnym politykom mikrofonu do ust, by domyślić się, że reforma systemu ETS jest konieczna z uwagi na wysokie koszty energii, utratę konkurencyjności i w konsekwencji deindustrializację Europy. Unia Europejska na pewno nie wyrzuci (na razie) całego projektu do kosza, ale na horyzoncie coraz wyraźniej rysuje się szansa na **rzeczywistą rewizję systemu**, który spowalnia naszą gospodarkę.

Marcin Krzeszowiec

Unijny system handlu uprawnieniami do emisji, zwany systemem ETS, działa od 2005 roku. To podstawowe narzędzie, które ma zdekarbonizować europejski przemysł. Dwie dekady temu jego koszty nie były jednak tak dotkliwe jak obecnie, gdy staje się wprost nie do zniesienia dla państw takich jak Polska.

Koszty energii w Europie są dziś niezwykle wysokie, a w ostatnich latach podbiły je dwa elementy. Z jednej strony były to niebotyczne ceny surowców po wybuchu wojny na Ukrainie, a z drugiej – rekordowe ceny unijnych certyfikatów do emisji dwutlenku węgla.

„Dziś ceny energii na Starym Kontynencie są dwa, a nawet trzy razy wyższe niż na przykład w USA czy Chinach. W naszych zakładach we Włoszech i Hiszpanii płacimy za energię mniej więcej tyle samo co w Polsce, czyli w przeliczeniu ok. 760 zł za megawatogodzinę i to jest cena bardzo wysoka. Dla porównania na północy w Brazylii cena całkowita, z uwzględnieniem

eprasa.pl e8f8128fed



Fot. Adobe Stock

kosztów dystrybucji, wynosi między 300 a 330 zł w zależności od okresu. Na południu Brazylii cena waha się już od 90 zł do 130 zł. Z kolei w naszym zakładzie w Kazachstanie koszt energii to 220 zł. No to o czym my rozmawiamy? Jak przy tak ogromnych dysproporcjach Europa może pozostawać konkurencyjna?" – mówił w grudniu zeszłego roku założyciel Grupy Selena, Krzysztof Domarecki w rozmowie z portalem next.gazeta.pl.

Dwukrotnie mniej za prąd płaci się także w Państwie Środka. Biznesmen podał, że „cena energii w Chinach to około 35–50 procent ceny europejskiej dla przedsiębiorców przemysłowych".

„Co więcej, Europa świadomie dobija się kolejnymi opłatami środowiskowymi, podczas gdy inni tego nie robią. ETS, a w przyszłości ETS2 wykańczają europejski przemysł. Już widzimy masowe przenoszenie produkcji poza Europę. Przez kilka ostatnich lat tylko w przemyśle chemicznym straciliśmy ponad 20 procent mocy produkcyjnych. [...] Moim zdaniem w Europie zaszliśmy trochę za daleko, troszczymy się o klimat, ale kompletnie nie tworzymy klimatu dla rozwoju przemysłu" – ocenił Krzysztof Domarecki.

Czas na zmiany

Podobnego zdania były zapewne osoby, które klaskały Friedrichowi Merzowi na ostatnim Europejskim Forum Przemysłowym w Antwerpii.

Niemiecki kanclerz powiedział wówczas, że system ETS nie jest od tego, by generować nowe przychody, ale żeby zredukować emisję CO_2 i zdekarbonizować linie produkcyjne.

– Jeśli nie da się tego osiągnąć i jeśli nie jest to właściwy instrument, powinniśmy być bardzo otwarci na jego zmianę lub przynajmniej odłożenie go w czasie, tak jak zrobiliśmy to w przypadku ETS2 dla konsumentów – ocenił kanclerz Merz, za co zebrał owacje z sali.

Dostał również brawa za kolejne zdanie, w którym zwrócił się do przedsiębiorców, mówiąc: – Nie potrzebujecie dotacji dla CAPEX-u, potrzebujecie niższego OPEX-u. Wasze koszty produkcji są zbyt wysokie.

Przekładając to na ludzki język, Merz stwierdził, że europejski przemysł nie potrzebuje dopłat do inwestycji, tylko zmniejszenia kosztów działalności.

System ETS skrytykował też premier Czech na nieformalnym szczycie unijnych przywódców w Alden Biesen. Andrej Babiš, rozmawiając z mediami, skarżył się, że dwa lata temu również odbywała się konferencja przemysłowa, ale od tego czasu nic się nie zmieniło: – Straciliśmy 10 procent zdolności przemysłowych. Tylko słowa, konferencje i żadnych działań – mówił premier Babiš, wzywając do reformy systemu handlu uprawnieniami do emisji CO_2.

– 63 proc. zysku z tych uprawnień trafia do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, więc oni robią biznes, a my tracimy nasz przemysł – skwitował.

Nadmienił przy tym, że już pięć lat temu proponował ustalenie maksymalnej ceny uprawnień na poziomie 30 euro. Jak widać, bez skutku.

Na zbyt wysokie ceny zwrócił uwagę również Emanuel Macron. Przywódca Francji przyznał, że ETS nie działa najlepiej w państwach uzależnionych od paliw kopalnych, a sytuację pogarszają dodatkowo spekulacje na rynku certyfikatami do emisji.

– W ten sposób ETS, który powinien kosztować około 30–40, obecnie kosztuje ponad 80 euro – mówił w rozmowie z dziennikarzami po spotkaniu w Alden Biesen.

– To bardzo obciąża niektóre gospodarki. I dlatego Komisja przedstawi w marcu konkretne rozwiązania, które zmniejszą to obciążenie – zapewnił.

Reforma von der Leyen

Prezydent Macron nie chce jednak słyszeć o porzuceniu systemu ETS oraz agendy klimatycznej zawartej w strategii Europejskiego Zielonego Ładu.

eprasa.pl e8f8128fed

Takiego samego zdania jest szefowa Komisji Europejskiej, która jasno stwierdziła, że „system handlu emisjami przynosi wyraźne korzyści" i nie stoi w sprzeczności z rozwojem gospodarczym. Podała, że od czasu wprowadzenia ETS w 2005 roku emisje spadły o 39 proc., a gospodarka w sektorach objętych tym systemem urosła o 71 proc.

– Skierowanie większej ilości dochodów z ETS z powrotem do przemysłu będzie kluczowym celem nadchodzącej reformy systemu handlu emisjami. Zasoby te pochodzą z przemysłu i muszą być reinwestowane w przemysł – powiedziała Ursula von der Leyen na Europejskim Forum Przemysłowym.

Argumentowała przy tym, że dzisiaj państwa członkowie Unii Europejskiej inwestują mniej niż 5 proc. dochodów z ETS w dekarbonizację przemysłu.

Szefowa Komisji Europejskiej zapowiedziała też, że w zamówieniach publicznych powinno pojawić się nowe kryterium – takie, które będzie promować niskoemisyjność i – co za tym idzie – europejskich dostawców.

Co jeszcze obejmie zapowiadana reforma?

Wiceminister klimatu i środowiska Krzysztof Bolesta powiedział portalowi Business Insider, że Komisja będzie zastanawiać się nad włączeniem do systemu ETS spalarni śmieci. Możliwe jest także objęcie ETS-em emisji wychwytywanych i usuwanych przez technologię CCS.

Na tapecie na pewno znajdzie się kwestia darmowych uprawnień dla przemysłu, które od 2026 roku mają być stopniowo wycofywane i ostatecznie zniknąć w 2034 roku. Kryzys, który przeżywają przedsiębiorstwa energochłonne, może spowodować, że KE postanowi zmienić ten harmonogram.

O co wnioskować będzie polski rząd?

– Już teraz można na pewno powiedzieć, że będziemy domagać się ulg w ETS1 dla sektorów pracujących na rzecz przemysłu obronnego, takich jak stalowy, cementowy czy chemiczny. Kolejnym naszym postulatem będzie kontynuacja bezpłatnych pozwoleń dla przemysłu i ciepłownictwa. Chcemy utrzymać ich stabilny poziom oraz wydłużyć okres przydzielania. Nie może być tak, że za 10 lat te sektory zostają bez pozwoleń – zaznaczył minister Bolesta.

> ***W Europie zaszliśmy trochę za daleko, troszczymy się o klimat, ale kompletnie nie tworzymy klimatu dla rozwoju przemysłu.***
>
> KRZYSZTOF DOMARECKI

Dodał, że Polska będzie starała się także ukrócić spekulacje na rynku certyfikatów do emisji, a także ponownie podniesie temat systemu ETS2, który „jest nam niepotrzebny".

– Do 2030 r. mamy zobowiązania redukcji emisji w transporcie i budownictwie, które realizujemy z nawiązką. Na razie negocjacje dały nam odsunięcie ETS2 w czasie o rok, ale wolelibyśmy, żeby nie uszczęśliwiała nas KE na siłę. Dlatego będziemy rozmawiać o dłuższym odłożeniu – tłumaczył Krzysztof Bolesta.

Propozycja rewizji dyrektywy ETS ze strony Komisji Europejskiej ma pojawić się do końca lipca.

Korytarz cenowy

Najważniejszą propozycją, która może zostać położona na stole, jest utworzenie korytarza cenowego dla sprzedawanych na giełdzie uprawnień do emisji CO_2. Chodzi o minimalne i maksymalne widełki opłat za emisje, które ustabilizowałyby ceny i ułatwiły robienie biznesu.

Do 2017 roku za wypuszczenie jednej tony dwutlenku węgla europejskie firmy płaciły zaledwie kilka euro. Później opłaty za emisje zaczęły stopniowo rosnąć, a od 2021 roku kompletnie zwariowały. Cenowe Mount Everest osiągnęły dwa lata później, gdy za tonę CO_2 trzeba było zapłacić prawie 92 euro.

System jest mocno spekulacyjny, a szalejące ceny uprawnień nieustannie uderzają w elektrownie węglowe, gazowe, w huty stali, cementownie, producentów ceramiki czy zakłady chemiczne.

Ustalenie stałych cen za emisje dwutlenku węgla obniżyłoby koszty i dało przedsiębiorcom stabilne ramy do planowania inwestycji.

Wprowadzenie korytarza cenowego sugerowali w marcu ubiegłego roku Francuzi, a wypowiedź prezydenta Macrona potwierdza, że coś jest na rzeczy.

W budowę wspólnego frontu dla korytarza cenowego na pewno włączyłyby się Grupa Wyszehradzka i najprawdopodobniej Włochy, które mają jedne z najwyższych cen energii w Europie.

Rząd Giorgii Meloni przyjął właśnie warty przeszło 3 mld euro Dekret Energetyczny, który ma obniżyć ceny energii dla obywateli i firm.

W skrócie polega on na tym, że włoskie elektrownie gazowe mają otrzymywać z budżetu państwa rekompensatę za zakup uprawnień do emisji CO_2.

Niezależnie od tego, czy Komisja Europejska zgłosi tutaj swoje obiekcje, czy też nie, jest to kolejny sygnał, że system ETS to dla Europy piąte koło u wozu – koło, które zawadza, obciąża i spowalnia nasze gospodarki, zamiast dodawać im impetu.

eprasa.pl e8f8128fed

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Przegapiona wielka rocznica

Niemal bez echa przeszła okrągła rocznica jednej z najważniejszych decyzji politycznych.

Niedawno przypadła dziesiąta rocznica przyjęcia „Ustawy z dnia 11 lutego 2016 r. o pomocy państwa w wychowywaniu dzieci". Był to akt prawny wprowadzający w Polsce program 500 plus. Objął on każde drugie i kolejne dziecko. W 2019 r. rozszerzono go na wszystkie dzieci. W 2023 r. przegłosowano podniesienie kwoty do 800 zł.

To była decyzja wręcz rewolucyjna. Wcześniej albo nie było nic, albo oferowano wybranym jednorazowe czy krótkotrwałe niewielkie kwoty. W 2016 r. dzieciom i rodzinom zaoferowano wsparcie na długie lata. I to jakie: płaca minimalna wynosiła wtedy zaledwie 1850 zł na rękę. 500 zł było wielkim wsparciem dla rodzin. W dodatku bez barier, formalności, kontroli i groźby utraty z byle powodu.

Całkowicie złamano neoliberalną logikę królującą od zarania III RP: „Pieniędzy nie ma i nie będzie" – chyba że dla kumpli i popleczników liberałów. „Rozdawnictwo demoralizuje" – chyba że rozdawnictwo forsy dla biznesu oraz tłustych posad dla „samych swoich". „Trzeba sobie zapracować" – nie dotyczy autorów przekrętów w Polnordzie, łapówkarzy w szpitalach czy specjalistów od ukrywania forsy w nogach od krzeseł. „Jesteśmy krajem na dorobku" – mimo upływu dekad i chwalenia się wzrostem PKB.

Znaliśmy te wywody na pamięć. Program 500 plus to był przewrót kopernikański.

Straszono nas dosłownie wszystkim: bankructwem kraju, drugą Grecją i siódmą Wenezuelą, spłacaniem długów przez sto kolejnych pokoleń, erupcją lenistwa, rozkwitem patologii. Podlano to oczywiście ogromną dawką niemal rasistowskich uprzedzeń. Bo niezamożni wszystko przepiją i „wydadzą nieodpowiedzialnie". Nic takiego nie nastąpiło.

Po dziesięciu latach jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Wiele świadczeń i zdobyczy z lat 2016–2023 silnie zakorzeniło się w świadomości. Nawet jeśli Donald Tusk czy ktokolwiek spróbują je ruszyć, to niewielkie są szanse, że wrócimy do liberalnego bantustanu z 2015 r.

Tę wiekopomną decyzję wprowadziła partia prawicowa. Nie Europejczycy-liberałowie, którym kilka kadencji nie wystarczyło, aby zastosować europejskie rozwiązania. Nie lewicowcy, którzy za swoich rządów cięli socjal, zamiast go rozwijać. W dodatku partia prawicowa zrobiła to w czasach, gdy nawet w najbardziej socjalnych krajach nie wprowadza się od dekad tak wielkich nowych świadczeń. Jest tam raczej rozpaczliwa obrona dawnych zdobyczy przed „obiektywną koniecznością cięć".

Ze zdziwieniem zauważyłem, że Prawo i Sprawiedliwość zachowywało się w rocznicę wprowadzenia 500 plus tak, jak gdyby się tego wstydziło. W oficjalnych kanałach partii nie było o tym ani słowa.

Wkrótce wybory. W Polsce są 2–3 miliony posiadaczy firm i kilka partii umizgujących się do biznesu. Jest też kilkanaście milionów pracowników najemnych i kilka milionów niezamożnych emerytów i rencistów – do nich nie zwraca się niemal nikt. Spore są arytmetyczne szanse, aby wygrała partia wspierająca słabszych. Ale musi przypominać o tym, jak wielkie znaczenie miały jej decyzje socjalne.

eprasa.pl e8f8128fed

ETS do kosza. Teraz!

W ostatnich tygodniach media coraz częściej informują o planowanej rewizji systemu handlu emisjami. Problem w tym, że jak przekonuje od lat Solidarność, **system jest zły**, nie sprawdził się i najlepszym rozwiązaniem będzie po prostu wycofanie się z niego.

Barbara Michałowska



Fot. M. Żegliński

O tym, że wysokie ceny energii są szkodliwe dla całej europejskiej gospodarki, mówił ostatnio w Brukseli wiceminister spraw zagranicznych Ignacy Niemczycki. Zaznaczył, że wdrożenie systemu ETS2 udało się przesunąć do 2028 r., ale – jak przekonywał – Polska zabiega o to, żeby mechanizm zaczął funkcjonować jeszcze później.

– Chcemy też, żeby był on mechanizmem dobrowolnym do wprowadzenia tylko przez te państwa członkowskie, które tego chcą. To jest jeden z pomysłów – powiedział Niemczycki. Mówił także w rozmowie z PAP o rewizji już funkcjonującego systemu ETS.

Po co reformować złe rozwiązania?

Problem jednak w tym, że UE dąży do rewizji i zmian systemu, który po prostu się nie sprawdził, a jego głównym skutkiem jest zubożenie gospodarki i obywateli takich państw jak Polska. Solidarność alarmuje o tych złych społecznych skutkach polityki klimatycznej UE od lat.

– System ETS, narzucony przez Unię Europejską jako rzekomo „rynkowe" narzędzie polityki klimatycznej, w praktyce stał się mechanizmem drenowania gospodarki i kieszeni obywateli. To rozwiązanie

eprasa.pl e8f8128fed

wadliwe konstrukcyjnie, kosztowne społecznie i niebezpieczne dla przemysłu – mówił Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

– Solidarność od lat alarmuje, że ETS uderza w polskich pracowników – w energetykę i przemysł energochłonny, a mający niebawem wejść w życie system ETS2 uderzy w całą gospodarkę i dotknie już bezpośrednio kieszeni obywateli. Tak wynika również z analizy eksperckiej opracowanej na zlecenie Solidarności. Raport pokazuje między innymi, jak rosnące ceny uprawnień do emisji przekładają się na koszty produkcji, ceny energii oraz ryzyko likwidacji miejsc pracy – wskazał.

Dziś, gdy coraz głośniej mówi się o rewizji systemu, wielu polityków odkrywa problemy, o których Solidarność mówiła od dawna.

– Dobrze, że wreszcie zaczyna się poważna dyskusja. Dobrze, że pojawiają się pytania o skutki społeczne i gospodarcze. Ale nie wolno udawać, że wystarczy kosmetyczna poprawka czy chwilowa korekta parametrów. Problem tkwi w całym mechanizmie – dodał przewodniczący Mickiewicz.

– Mówi się o „sprawiedliwej transformacji”, ale sprawiedliwość nie polega na tym, że pracownik płaci więcej za prąd i ogrzewanie, a jego miejsce pracy staje się nieopłacalne. Sprawiedliwość nie polega na przerzucaniu kosztów polityki klimatycznej na społeczeństwo, które nie ma realnego wpływu na jej kształt – przekonywał.

Energia musi być stabilna

Ostatnio przeciwko Zielonemu Ładowi Solidarność protestowała we Wrocławiu. Maciej Kłosiński, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, podkreślał, że transformacja energetyczna nie może odbywać się kosztem pracowników i całych regionów przemysłowych.

– Musimy mieć na to czas. Nie może być tak, że urzędnicy co miesiąc zmieniają zdanie i przyspieszają cele redukcji emisji do 90%, żeby zdążyć do 2040 roku. To nie jest odpowiedzialna polityka – mówił.

Zwracał uwagę, że Polska posiada określone zobowiązania dotyczące wygaszania wydobycia i że proces ten powinien być realizowany stopniowo, z uwzględnieniem stabilności systemu energetycznego.

> ***ETS to rozwiązanie wadliwe konstrukcyjnie, kosztowne społecznie i niebezpieczne dla przemysłu.***
>
> BARTŁOMIEJ MICKIEWICZ

– Mamy umowę, że nasze wydobycie będzie wygaszane sukcesywnie. Być może w przyszłości zastąpi je atom, ale nie możemy opierać bezpieczeństwa energetycznego wyłącznie na wiatrakach czy fotowoltaice. W dni bez wiatru i słońca to konwencjonalne źródła energii ratują nasze domy, nasze gospodarstwa i nasze miejsca pracy. Energia musi być stabilna w sieci – i o tym musimy mówić otwarcie – podkreślił.

Podczas tej samej pikiety Kazimierz Kimso, przewodniczący Zarządu Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”, mówił, że jego zdaniem decyzje dotyczące gospodarki i energetyki powinny zapadać w kraju, a nie być narzucane z zewnątrz.

– Jesteśmy wolnym, demokratycznym narodem. Wolność i niepodległość nie polegają na tym, że ktoś z zewnątrz będzie nam mówił, jak mamy żyć i jaką energię mamy produkować. To nie ma nic wspólnego z uczciwością – zaznaczył.

W biurze Komisji Europejskiej został złożony specjalny list otwarty podpisany przez przedstawicieli Solidarności i Solidarności RI. Napisano w nim m.in.:

„Głosując za wejściem do Unii Europejskiej, ponad dwadzieścia lat temu, Polacy oczekiwali, że w tej wspólnocie państw lepiej rozwinie się uczciwy handel i konkurencja gospodarcza oraz poszanowanie wartości, które przez tysiąclecia ukształtowały cywilizację europejską. Niestety, od pewnego czasu organy UE, którym powierzono koordynację działań w ramach UE, reprezentowane przez niewybieralnych urzędników, rozpoczęły narzucanie państwom członkowskim rozwiązań, które jednoznacznie uderzają w gospodarkę”.

„Nie prowadzi się dyskusji publicznej i ignoruje się eksperymenty naukowe mówiące o urealnieniu wpływu dwutlenku węgla na atmosferę ziemską” – przekonywali autorzy pisma.

Potrzeba odwagi

– Jeżeli narzędzie generuje więcej szkód niż korzyści – należy je odrzucić. Nie reformować w nieskończoność, nie łatać, nie dokładać kolejnych warstw regulacji. Prawda jest taka, że ETS w obecnym kształcie obciąża gospodarkę, osłabia przemysł i pogłębia nierówności kosztów energii między Europą a resztą świata. Dlatego zamiast kolejnej „rewizji” potrzeba odwagi politycznej. Trzeba jasno powiedzieć: ten system się nie sprawdził. I skoro się nie sprawdził – powinien trafić do kosza – podsumował Bartłomiej Mickiewicz.

eprasa.pl e8f8128fed

Polityka klimatyczna zaczyna pękać

Na łamach „Tygodnika Solidarność” wielokrotnie pisaliśmy o dramatycznych konsekwencjach, jakie dla obywateli Polski nieść będzie wejście w życie systemu ETS2. Choć w przestrzeni medialnej zaczęły pojawiać się jakiś czas temu alarmistyczne teksty na ten temat, można odnieść wrażenie, że do opinii publicznej **wciąż nie dociera** skala zagrożenia. Co za tym idzie, brak jest odpowiedniego społecznego oporu, który mógłby proces ten zatrzymać. Być może jednak wcale nie jesteśmy skazani na to samobójstwo pod zielonymi chorągwiami. Po zmianie paradygmatu polityki USA, również w krajach Unii Europejskiej zaczyna pojawiać się krytyczne stanowisko wokół niekwestionowanej dotychczas agendy.

Krzysztof Karnkowski

Współczesną politykę klimatyczną od początku lat 90. warunkowały rozmaite dokumenty tworzone przez ONZ i porozumienia zawierane podczas kolejnych poświęconych kwestiom ekologii i emisji CO_2 szczytów klimatycznych. Poza dokumentami europejskimi, takimi jak Zielony Ład, Fit for 55 czy ETS, kluczowe są tu Ramowa konwencja Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu, będąca efektem szczytu w Rio de Janeiro w 1992 roku, protokół z Kioto z 1997, po raz pierwszy wprowa-



Fot. Adobe Stock

dzający limity emisji przyjęte przez państwa rozwinięte, oraz późniejsze o 18 lat porozumienia paryskie, podczas których państwa deklarowały pod międzynarodową presją kolejne samoograniczenia. Dla Europy postanowienia wszystkich tych szczytów były niekwestionowalne (pomimo sprzeciwu poszczególnych rządów) i stanowiły podstawę tworzenia unijnej polityki klimatycznej i narzucania ograniczeń krajowym gospodarkom, przy czym część krajów uzyskiwała dla siebie odpowiednie mechanizmy kompensacyjne adekwatne do specyfiki ich gospodarek. Inaczej rzecz miała się ze Stanami Zjednoczonymi. Choć zwrot dokonany w tej sprawie przez Donalda Trumpa jest najdalej idącą zmianą obowiązującego paradygmatu, równocześnie jednak mieści się w dotychczasowej polityce USA.

Ameryka lawiruje

Amerykanie bowiem zawsze podchodzili do kolejnych postanowień w sposób niekonsekwentny. Argumentując to przede wszystkim zbyt dużymi ustępstwami na rzecz Chin, Stany nigdy nie przyłączyły się do protokołu z Kioto, choć prezydent Bill Clinton złożył pod nim swój podpis. Był to właściwie pusty akt, ponieważ nie miał zamiaru kierować dokumentu do Senatu, w którym nie było szans na jego ratyfikację. Prezydent George W. Bush natomiast już wprost ogłosił, że Ameryka nie wprowadzi postanowień z Kioto w życie. Protesty aktywistów nie zdały się na nic, choć temat był dla nich nośny. Dość wspomnieć, że w 2002 roku utwór zatytułowany „Kyoto now!" („Kioto teraz!") nagrała popularna wówczas amerykańska grupa punkrockowa Bad Religion.

Porozumienia z Paryża natomiast były przyjmowane i wdrażane w życie przez administracje demokratyczne (Baracka Obamy i Joe Bidena), a wypowiadane przez Donalda Trumpa zarówno w pierwszej, jak i drugiej kadencji. Za czasów Joe Bidena doszło do mocnego wychylenia polityki państwa w kierunku OZE i redukcji emisji, a jednym z głównych narzędzi jej prowadzenia były zawarte w ustawie mającej przeciwdziałać inflacji liczne subsydia dla działań związanych z produkcją i magazynowaniem zielonej energii. Była to strategia mniej restrykcyjna od polityk europejskich, nastawiona bardziej na motywacje finansowe i silne wsparcie państwa, jednak wyraźnie kierująca gospodarkę w podobnym kierunku – ku dekarbonizacji. Symbolem wpisującego się w główny nurt nastawienia Bidena do kwestii ekologii był powrót do porozumień z Paryża już w pierwszym dniu jego urzędowania.

> STANY NIGDY NIE PRZYŁĄCZYŁY SIĘ DO PROTOKOŁU Z KIOTO, CHOĆ PREZYDENT CLINTON ZŁOŻYŁ POD NIM SWÓJ PODPIS.

Kontrrewolucja Trumpa

Donald Trump swą kampanię prowadził, co oczywiste, w kontrze do starającego się o reelekcję Bidena, a następnie zastępującej go w wyścigu Kamali Harris. Jednym z punktów, w których zmiana zaznaczała się najmocniej, była – co nie dziwi – polityka gospodarcza, w której myślenie o efektywności i konkurencyjności gospodarki amerykańskiej zostało postawione w centrum, a ekologia zeszła na dalszy plan. Widać tu różnicę nie tylko z agendą Bidena, lecz również polityką Unii Europejskiej. UE jako receptę na pogłębiający się kryzys widziała – co potwierdzały kolejne raporty zatrudnianych do stawiania diagnoz i pisania recept unijnych autorytetów – jeszcze więcej tego samego, ucieczkę w zielone technologie, w tym takie, które nie zdążyły jeszcze nawet zaistnieć. Trump miał zupełnie inny pomysł, który zawarł w nośnym, odwołującym się do amerykańskiej duszy zdobywcy i takiej też tradycji, haśle: „Drill, baby, drill". Ustawę antyinflacyjną Trump uważał za „zielony komunizm", a subsydiowanie zielonej energii uznawał wręcz za zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów, ponieważ spora część środków trafiała do chińskich producentów infrastruktury OZE. – Kryzys inflacyjny został wywołany przez potężne wydatki i eskalujące ceny energii. Dlatego dziś ogłoszę też stan wyjątkowy w energetyce. Będziemy ›

> ZA CZASÓW JOE BIDENA DOSZŁO DO MOCNEGO WYCHYLENIA POLITYKI PAŃSTWA W KIERUNKU OZE.

eprasa.pl e8f8128fed

„wiercić, kochanie, wiercić", obniżymy ceny, wypełnimy swoją strategiczną rezerwę do pełna i będziemy eksportować amerykańską energię na cały świat – mówił Donald Trump podczas inauguracji swej prezydentury. Jego otoczenie zapowiadało wówczas zwiększenie eksportu LNG, ułatwienie zdobywania koncesji na wydobycie ropy oraz odbudowy Rezerwy Strategicznej Ropy Naftowej. Z drugiej strony planowano zniesienie ulgi podatkowej na zakup samochodów elektrycznych, jednego z kluczowych elementów polityki proekologicznej Bidena. Działania te przywracały tradycyjne myślenie o paliwach, a przez to o gospodarce w Stanach Zjednoczonych. Na początku drugiej kadencji Biały Dom opublikował oficjalny dokument polityki energetycznej „Unleashing American Energy" („Uwolnienie amerykańskiej energii") będący zapisem kierunków, które mają odblokować potencjał zasobów energetycznych kraju – przede wszystkim poprzez zwiększenie wydobycia na lądzie i wodach federalnych. Tekst podkreślał, że wcześniejsze regulacje były motywowane ideologią i hamowały rozwój energii oraz wzrost gospodarczy. Od teraz ideologię tę zastąpić miało odblokowanie zasobów naturalnych oraz odbudowa bezpieczeństwa energetycznego USA. „UAE" stał się podstawowym formalnym dokumentem legitymizującym deregulację rynków i konkretne działania administracyjne. Do kolejnego ważnego przewrotu doszło dosłownie kilka dni temu, gdy 12 lutego 2026 r. Amerykańska Agencja Ochrony Środowiska (EPA) sfinalizowała uchylenie orzeczenia z 2009 r. w sprawie zagrożenia emisjami gazów cieplarnianych (Greenhouse Gas Endangerment Finding). Orzeczenie to stanowiło warunek wstępny do wprowadzenia regulacji emisji z nowych pojazdów silnikowych. Co to oznacza? Jak na swoich stronach podaje EPA: „w wyniku tych zmian producenci silników i pojazdów nie będą już mieli żadnych przyszłych obowiązków w zakresie pomiaru, kontroli i raportowania emisji gazów cieplarnianych dla silników i pojazdów drogowych, w tym modeli wyprodukowanych przed wejściem w życie tej ostatecznej regulacji".

Gospodarczy wyścig

Ameryka stanęła u progu energetycznej kontrrewolucji, w której ogranicza się biurokrację, ułatwia wydobycie ropy i innych surowców, a uczestnikom gospodarczej gry likwiduje się lub łagodzi rozmaite limity emisji krępujące w ostatnich latach ich działalność. Równolegle realizacja zapowiedzi dotyczących umów międzynarodowych tworzyła ogromną wyrwę w zachodniej zielonej agendzie. Można jednak spojrzeć na to wszystko jeszcze inaczej: gdy gospodarka Unii Europejskiej łapie zadyszkę z powodu narzuconych sobie ograniczeń, Stany wracają do produkcji na pełną moc. W sytuacji, gdy coraz częściej dotychczasową współpracę zastępuje chłodna przyjaźń lub nawet (na razie w sferze werbalnej) rywalizacja, USA rzucają Europie wyzwanie i zaczynają gospodarczy odpowiednik dawnego wyścigu zbrojeń. Wówczas udało się w ten sposób wygrać Ronaldowi Reaganowi ze Związkiem Radzieckim. Czy teraz administracja Trumpa osiągnie podobny efekt w tym niewypowiedzianym jeszcze wprost, lecz narastającym sporze z Unią? Pierwsza bitwa zaczyna się na naszych oczach i dotyczy umowy, którą UE zawarła z krajami Mercosur. O znaczeniu tego porozumienia handlowego i kryjącymi się za nim problemami dla europejskiego rolnictwa pisaliśmy na naszych łamach całkiem niedawno. Umowa przez unijne elity forsowana była wręcz siłowo, z pominięciem konsultacji społecznych, a nawet Parlamentu Europejskiego, i jeszcze na początku lutego wydawało się, że sprawa jest niestety przesądzona. Tymczasem doszło do niespodziewanego zwrotu akcji, gdy w całą, negocjowaną przez dekady umowę wtrącili się Amerykanie. Administracja Trumpa postanowiła nie przyglądać się biernie temu, że UE wkracza do Ameryki Południowej uważanej przez rząd USA za swoją strefę wpływów. Zaproponowała więc Argentynie, jednemu z filarów Mercosur, umowę na dużo lepszych warunkach. O ile porozumienie z UE jest w dużym stopniu nowoczesną projekcją dawnej europejskiej myśli kolonialnej (co z pewnym opóźnieniem zdaje się do państw sygnatariuszy docierać), zamieniającą kilka zamorskich państw w folwark karmiący Europejczyków w zamian za dostawy

AMERYKA STANĘŁA U PROGU ENERGETYCZNEJ KONTRREWOLUCJI, W KTÓREJ OGRANICZA SIĘ BIUROKRACJĘ, A UŁATWIA WYDOBYCIE ROPY I INNYCH SUROWCÓW.

eprasa.pl e8f8128fed

dóbr przemysłowych, propozycja Amerykanów objęła nie tylko lepsze warunki finansowe, lecz również transfer technologii. Cywilizacyjny i technologiczny awans w miejsce wepchnięcia na lata w rolę chłopów pańszczyźnianych wielkich holdingów agrospożywczych. Oferta ta skierowana na początek do Argentyny, której prezydent Havier Milei jako prawicowiec i liberał jest naturalnym partnerem dla Trumpa, budzi coraz większe zainteresowanie również pozostałych państw Mercosur. W Brazylii i reszcie krajów grupy narasta świadomość, że gospodarczy pakt z Unią nie był wcale najlepszym możliwym interesem.

Nowe spojrzenie na ETS

Jeśli jednak do ostatecznego wejścia w życie umowy z krajami Mercosur nie dojdzie, unijna gospodarka wpadnie w kolejne duże kłopoty i będą to kłopoty z ekologią w tle. Kontrowersyjne porozumienie miało dać oddech i nowe rynki przemysłowi europejskiemu, zwłaszcza, co oczywiste, niemieckiemu. Skąd jednak wziął się kryzys, na który umowa z Mercosur miała być lekarstwem? Z wysokich kosztów energii i ograniczeń, które na produkcję poszczególnych branż przemysłu narzucały kolejne unijne polityki i obostrzenia. Skoro zaś ucieczka przed skutkami ETS może się nie udać, pora chyba zacząć myśleć o pozbyciu się lub ograniczeniu samego problemu. I choć, o czym pisałem niedawno dla naszego tygodnika, niewybieralna część elit Unii Europejskiej wciąż przygotowuje kolejne ograniczenia i szykuje się do wprowadzenia dużo bardziej drakońskiego ETS2, ci z polityków, którzy zależą od wyborców i – nie zapominajmy – od wpływowych lobbystów (a więc również przedstawicieli dużych przemysłów, zarówno ze strony właścicieli, jak i związków zawodowych), zaczynają dziś mówić trochę innym głosem. O ile mniej dziwi fakt, że system bardzo mocno krytykują nasi partnerzy z Grupy Wyszehradzkiej, o tyle bardziej dziwić może, że na nich krytyka ta wcale się nie kończy.

USA RZUCAJĄ EUROPIE WYZWANIE I ZACZYNAJĄ GOSPODARCZY ODPOWIEDNIK DAWNEGO WYŚCIGU ZBROJEŃ.

– Ten system nie ma służyć do generowania nowych dochodów. Został wprowadzony po to, aby ograniczyć emisję CO_2, a jednocześnie umożliwić przedsiębiorstwom przejście na produkcję od niej wolną. Jeśli więc nie da się tego osiągnąć i jeśli nie jest to właściwe narzędzie, powinniśmy być bardzo otwarci na jego rewizję albo przynajmniej odłożenie w czasie – mówił 11 lutego podczas nieformalnego unijnego szczytu w Antwerpii kanclerz Niemiec Friedrich Merz. Podczas tego samego szczytu zbyt wysokie ceny uprawnień, choć nie sam system, skrytykował prezydent Francji Emmanuel Macron, zauważając też łaskawie, że „w niektórych państwach nie działa to dobrze, bo ciągle mają zbyt duży udział paliw kopalnych, które wyznaczają koszt krańcowy energii". Słowacy, których poparli następnie również Czesi, wezwali natomiast do zawieszenia systemu. Z kolei włoski rząd zdecydował ostatnio o czasowym usunięciu kosztów ETS z rachunków za prąd i obciążeniu nimi państwa w celu ulżenia odbiorcom. Wszystkie te doniesienia przeczą lansowanym przez lata eksperckim analizom mówiącym, że problem z ETS ma dziś w Unii wyłącznie Polska jako kraj zimny i najbardziej uzależniony od węgla.

GUTEN MORGEN | MICHALSKI



eprasa.pl e8f8128fed

Unia, ETS, EDIS. Kto ma rację?

UE chce wzmacniać odporność rodzimego przemysłu obronnego i jednocześnie dokręca śrubę ws. ETS i ETS2. To **sprzeczne i nierealistyczne** dążenia.

Jakub Pacan

System ETS, choć w debacie publicznej nie eksponowany w takim stopniu, w jakim na to zasługuje, staje się najważniejszym wyzwaniem polskiej gospodarki, szczególnie w odniesieniu do obronności.

Infrastruktura krytyczna vs ETS

Tak się składa, że jeśli weźmiemy pod uwagę obszary gospodarki, na które złowrogim cieniem kładzie się system ETS, tzn. elektrownie, ciepłownie, energetykę, przemysł



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e8f8128fed

ciężki, górnictwo, hutnictwo, motoryzację, lotnictwo, branżę zbrojeniową, przemysł chemiczny, to właściwie pokrywa się on niemal w stu procentach z infrastrukturą krytyczną państwa polskiego, zresztą każdego państwa, ale w przypadku takiego państwa frontowego jak nasze, któremu grozi wojna, to szczególnie ważna informacja.

W czasie, gdy obok ETS Unia Europejska wprowadza ETS2, z kolejnych instytucji tej samej UE wychodzą nowe dokumenty mówiące o konieczności budowania odporności wspólnoty wobec trudnych wyzwań geopolitycznych, szczególnie po wybuchu wojny na Ukrainie. Czy Unia wreszcie zaczyna się zbroić? I tutaj jest problem, ponieważ nikt nie podał jeszcze magicznej formuły, jak zwiększać europejski sektor obronny, wprowadzając jednocześnie kolejne, jeszcze ostrzejsze, daniny zawarte w Zielonym Ładzie i ETS-ach.

W październiku 2022 r. przewodniczący KK NSZZ „Solidarność" Piotr Duda wystosował list do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, w którym zaapelował o zawieszenie systemu ETS, ponieważ Europa nie tylko jest osłabiona po pandemii koronawirusa, ale dodatkowo: „Obecnie w obliczu wojny i kryzysu energetycznego problem jest jeszcze bardziej palący". Szef Komisji Krajowej „S" pisał wtedy, by „bezzwłocznie zawiesić funkcjonowanie europejskiego systemu handlu uprawnieniami do emisji EU ETS, a następnie poddać go drobiazgowej analizie i reformie, szczególnie w kontekście powrotu wielu krajów, w tym Niemiec, Francji czy nawet Norwegii, do energetyki konwencjonalnej i wydobycia węgla".

Nieco ponad miesiąc wcześniej premier Mateusz Morawiecki podczas wizyty w Paryżu zaproponował w rozmowach z prezydentem Emmanuelem Macronem zamrożenie cen ETS na poziomie 30 euro na dwa lata.

Ursula von der Leyen stwierdziła w obu przypadkach, że musi otaczać troską klimat i nic sobie z tych apeli nie robiła. Więcej nawet, w tamtym czasie wychodziła z propozycjami m.in. obowiązkowego ograniczenia zużycia energii w UE w godzinach szczytu.

Jednak myliłby się ten, kto sądzi, że Unia zostawiła swoich obywateli samym sobie wobec zagrożeń wojennych płynących głównie ze Wschodu. Jak w przypadku wcześniejszych kryzysów powstało wiele górnolotnych dokumentów, z których same podawane tam w setkach miliardów euro kwoty dodają otuchy i nadziei.

W 2025 r. opracowano wspólną białą księgę w sprawie obronności europejskiej – Gotowość 2030. „Biała księga utorowała drogę do prawdziwej Europejskiej Unii Obrony, w której kraje UE będą mieć w dalszym ciągu decydujący głos w kwestii obronności, a jednocześnie skorzystają z wartości dodanej, jaką daje członkostwo w UE" – czytamy na stronach KE. „Państwa członkowskie zamierzają uruchomić 800 mld euro na obronność" – dodano.

To z planu ReArm Europe/Gotowość 2030 pochodzi wzbudzający obecnie w Polsce tyle kontrowersji Instrument na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy (SAFE). UE w wydatkowaniu środków na obronność chce stawiać na innowacyjność i mobilność.

Na papierze ładnie

Co więcej, w marcu 2024 r. Komisja Europejska oraz wysoki przedstawiciel Unii ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa opublikowali Europejską Strategię Przemysłu Obronnego (EDIS). Zakłada ona, że do 2030 r. państwa UE powinny wspólnie zamawiać co najmniej 40% sprzętu wojskowego, z czego co najmniej 50% budżetów obronnych ma być wydawane na sprzęt wytwarzany w UE do 2030 r. (wzrost do 60% w 2035 r.). Strategia zakłada także integrację ukraińskiego przemysłu zbrojeniowego z unijnym.

EDIS zakłada również utrzymanie gotowości przemysłu obronnego i wzmocnienie przemysłu poprzez „szybkie zwiększenie zdolności wytwarzania krytycznych produktów obronnych i wspólne projekty

WSZYSTKIE DROBIAZGOWO ROZPISANE PLANY OBRONNE PRZEZ UNIJNE INSTYTUCJE MUSZĄ SIĘ W KOŃCU ZDERZYĆ Z RZECZYWISTOŚCIĄ NA DOLE, Z FABRYKĄ W POLSCE, CZECHACH CZY RUMUNII, JESZCZE NIEZAMKNIĘTĄ HUTĄ CZY KOPALNIĄ.

eprasa.pl e8f8128fed

przemysłowe mające pomóc państwom członkowskim rozbudowywać zdolności wojskowe o strategicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa i obronności Unii".

Ambicje wspólnej polityki obronnej UE sięgają gwiazd, bo UE zamierza wspierać także technologie kosmiczne na potrzeby obronne, dodatkowo systemy powietrzne, jak samoloty bojowe nowej generacji, obronę przeciwrakietową i przeciwdronową oraz systemy morskie i podwodne.

Do tego wszystkiego potrzeba bardzo dużo stali, a samoloty bojowe, rakiety, wozy bojowe i okręty zużywają bardzo dużo paliwa i generują ogromny ślad węglowy.

Wszystkie drobiazgowo rozpisane plany obronne przez unijne instytucje muszą się w końcu zderzyć z rzeczywistością na dole, z fabryką w Polsce, Czechach czy Rumunii, jeszcze nie zamkniętą hutą czy kopalnią i oporowymi daninami na rzecz zielonej transformacji. I tutaj nic nie napawa optymizmem, a właściwie widać zarzewie przyszłej klęski, jeśli UE nie odstąpi od opłat ETS, śladu węglowego itp.

ETS załamuje infrastrukturę przemysłową w Europie i Polsce. A warto pamiętać, że przemysł ciężki to system naczyń połączonych – słabsza kondycja w jednym sektorze powoduje kryzys w kolejnym i następnych.

Proces produkcji stali w Polsce opiera się głównie na wielkich piecach, do tego potrzebny jest koks. Do produkcji na potrzeby obronne najlepiej sprawdza się technologia wielkich pieców i wkład koksowy. Koks jest zresztą jednym z 17 surowców krytycznych o kluczowym znaczeniu dla europejskiej gospodarki, transformacji energetycznej, obronności i przemysłu cyfrowego, których dostępność jest zagrożona. W maju 2024 r. wszedł w życie odpowiedni dokument pod nazwą Critical Raw Materials Act [Ustawa o surowcach krytycznych – CRMA].

Jednak produkcja koksu także obłożona jest zielonymi podatkami, w tym ETS, i koksownie, podobnie jak huty, stoją na granicy upadku. Logicznym i najprostszym – wydawałoby się – rozwiązaniem jest zwolnienie węgla koksowego z opłat środowiskowych, skoro to surowiec krytyczny dla bezpieczeństwa UE. Jednak tak nie jest.

Polska ma jedne z najwyższych cen energii elektrycznej w Europie, co wynika z silnej zależności pozyskiwania energii z węgla, który ma coraz wyższe opłaty za uprawnienia do emisji CO_2 wynikające z ETS. Hutom nie opłaca się produkować, koksownie nie mają komu sprzedawać swojego produktu, kopalnie nie mają zbytu na węgiel przeznaczony dla hutnictwa. Tak koło się zamyka.

Owszem, można mówić o produkcji tzw. zielonej stali za pomocą bardzo drogiej technologii wodoru lub stali elektrycznej, jednak do tego potrzebny jest złom, a z tym coraz trudniej w Polsce i w Europie. Na dodatek na początku tego roku Ukraina wprowadziła zakaz eksportu złomu za granice kraju, a to właśnie z Ukrainy pochodziła duża część tego surowca dla polskich hut. No i potrzebna jest tutaj energia elektryczna pochodząca głównie z węgla, która także zawiera w sobie daniny ETS.

Skoro 50% zamawianego sprzętu wojskowego ma pochodzić z samej Unii Europejskiej, a w 2030 r. ma to być 60%, to dlaczego ta sama Unia swoimi programami, jak ETS i ETS2, zaprzecza sama sobie? UE chce także produkować amunicję we własnym zakresie, problem w tym, że przemysł chemiczny jest także energochłonny. Właśnie teraz w Polsce na skraju przepaści jest przemysł chemiczny, który mógłby produkować materiały wybuchowe i zatrudniać około 340 tys. osób.

Europejska Wspólnota Węgla i Stali powstała w 1952 r. po to, by zapewnić Europie pokój i bezpieczeństwo właśnie poprzez przełamywanie egoizmów narodowych w produkowaniu najważniejszych surowców. Kluczowym krajem, który miał być zeuropeizowany, były Niemcy. Dziś egoizmy narodowe i gospodarcze wróciły i Niemcy próbują na siłę wcisnąć Polsce pożyczkę SAFE, by kupować u nich uzbrojenie.

A może chodzi o to, by do końca wygasić resztki przemysłu w naszej części Europy?

HUTOM NIE OPŁACA SIĘ PRODUKOWAĆ, KOKSOWNIE NIE MAJĄ KOMU SPRZEDAWAĆ SWOJEGO PRODUKTU, KOPALNIE NIE MAJĄ ZBYTU NA WĘGIEL PRZEZNACZONY DLA HUTNICTWA. TAK KOŁO SIĘ ZAMYKA.

eprasa.pl e8f8128fed



Fot. Adobe Stock

Przebudzeni klimatyści

„Następuje **globalne wycofywanie się** z alarmistycznej ideologii klimatycznej i to dobrze” – pisze na łamach „Los Angeles Times” Bjørn Lomborg, duński politolog i autor książki „Sceptyczny ekolog”.

Agnieszka Żurek

Woke’iści się budzą? Co ich do tego skłania i czy jest to przebudzenie z ulgą z sennego koszmaru, czy też przeciwnie – brutalne przerwanie złotego snu?

Patrick Moore, współzałożyciel i były lider Greenpeace Canada, to przykład „byłego aktywisty klimatycznego”, który zaczął krytykować ekologizm. Po odejściu z ruchu w 1986 roku twierdził, że stał się on bardziej ideologiczny niż naukowy.

„Czy czeka nas koniec?”

Tak było 40 lat temu, ale „klimatyczne nawrócenia” zdarzają się

eprasa.pl e8f8128fed

i dziś. Przykładem może być była aktywistka klimatyczna Lucy Biggers, która w lutym tego roku udzieliła obszernego wywiadu innej byłej działaczce na rzecz przeciwdziałania globalnemu ociepleniu, Mayi Sulkin. W rozmowie tej opowiedziała o ewolucji swoich poglądów oraz o tym, dlaczego w ogóle „wsiąkła" w ruch klimatystów.

– W ruchu na rzecz ochrony klimatu spędziłam połowę moich lat 20. Zajmowałam się mediami społecznościowymi, spędzałam bardzo dużo czasu w internecie na scrollowaniu, a algorytmy podpowiadały mi cały czas podobne treści związane właśnie z ochroną klimatu. Oglądałam filmy na ten temat, np. „Czy czeka nas koniec?" z Leonardo di Caprio. Dziś nie do końca wiem, czemu zaufałam w sprawach dotyczących klimatu akurat jemu, ale tak wtedy było. Obejrzałam także film „Kraj gazem płynący" wyreżyserowany przez aktywistę klimatycznego Josha Foxa. Dopiero dzisiaj wiem, że był to film bardzo stronniczy. Chłonięcie treści podpowiadanych mi przez algorytm sprawiło, że w 2016 roku chętnie wzięłam udział w proteście przeciwko budowie rurociągu Dakota Access Pipeline w północnych Stanach Zjednoczonych. Zajęłam się promowaniem tych manifestacji w mediach społecznościowym. W ten sposób weszłam w świat aktywizmu klimatycznego i od tamtej pory zaangażowałam się w to zawodowo – opowiadała Biggers.

Młoda kobieta pracowała jako influencerka i dziennikarka, przeprowadzała wywiady m.in. z Gretą Thunberg, nagłaśniała zagrożenia związane z używaniem plastiku etc. Szybko „dorobiła się" 50 tys. osób obserwujących jej konto na Instagramie. Jak sama zaznaczyła, nie jest to dużo jak na dzisiejsze standardy, ale dziesięć lat temu taki wynik to było coś.

– W tamtym czasie zmiany klimatyczne nie były jeszcze tematem tak często podejmowanym przez media głównego nurtu. Chciałam więc pomóc swoją aktywnością medialną działaczom klimatycznym i nagłośnić to, co robią. Kierowało mną wówczas poczucie sprawiedliwości. Uważałam, że to niezrozumiałe, że świat się kończy, a tak mało ludzi o tym mówi. Postanowiłam więc zacząć od siebie i robić wszystko, aby te kwestie nagłośnić – podkreśliła.

Poczucie winy „białych i uprzywilejowanych"

Z perspektywy czasu zaobserwowała, że podstawową rolę w jej ówczesnych życiowych wyborach odegrały kwestie psychologiczne. Biggers zauważyła, że klimatyzm dał jej poczucie celu, tożsamości, ale także wynikał z chęci uniknięcia poczucia winy związanego z przynależnością do „uprzywilejowanej" klasy białych Amerykanów. Zwróciła również uwagę na rolę bańki informacyjnej w kształtowaniu się jej ówczesnych poglądów. – W tamtym czasie miałam także poglądy bardzo mocno lewicowe i obracałam się praktycznie wśród ludzi o dokładnie takich samych zapatrywaniach. Chciałam mieć wpływ na rzeczywistość. Miałam też poczucie szczególnego zobowiązania z uwagi na fakt, że jestem biała i przez to uprzywilejowana, dlatego też chętnie angażowałam się w proekologiczne protesty rdzennych mieszkańców Ameryki. Kiedy patrzę na to z dystansu, widzę, że motorem mojego działania na pewno były silne emocje i czarno-białe myślenie w rodzaju: rdzenni Amerykanie są „tymi dobrymi", a więc takie jest też wszystko, co robią, z kolei rząd oraz ideologia kapitalistyczna to zło i opresja i należy im się sprzeciwić za wszelką cenę. Moja postawa przynosiła mi też walidację społeczną i szacunek w grupie – przyznała.

Stwierdziła, że ten sam rodzaj silnych emocji występuje także w ruchu Black Lives Matter czy w ruchu propalestyńskim. – Działalność w ruchu klimatystów stała się ważną częścią mojej tożsamości. Byłam szczerze przekonana, że jeśli nie damy z siebie wszystkiego, świat skończy się najpóźniej za 10 lat. I że każdy, kto podważa to, w co wierzę, albo nawet zadaje na ten temat pytania, jest sprzedawczykiem albo agentem wpływu. Wierzyłam, że jeśli pokonamy dotychczas istniejący wrogi system, będziemy żyć szczęśliwie i pokojowo w harmonii z naturą i z innymi ludźmi. Brzmi to wszystko jak komunizm, tudzież marksizm, i tym zresztą to w istocie jest. Myślę, że jest to zgodne z zamierzeniami twórców tego ruchu. Działając w nim, nie rozumiałam jeszcze, że byłam w tym systemie „pożyteczną idiotką". Kiedy działasz w tego rodzaju ruchu, nawet nie wiesz, kiedy przechodzić od hasła: „Segregujmy śmieci" do postulatu: „Zniszczyć Zachód!" – zaznaczyła Biggers.

KANADYJSKI PREMIER MARK CARNEY KIEDYŚ WZYWAŁ DO „GLOBALNEGO ZOBOWIĄZANIA DO ZEROWEJ EMISJI", A DZIŚ OBIECUJE UCZYNIĆ KANADĘ „SUPERMOCARSTWEM ENERGETYCZNYM".

eprasa.pl e8f8128fed

Wątpliwości? – Miałam je właściwie cały czas, ale nie dopuszczałam ich do siebie, a tym bardziej nie dzieliłam się nimi w obawie, że ktoś zakwestionuje moją lojalność wobec sprawy. Skupiałam się na tym, co w danej sprawie stanowiło wystający ponad wodę wierzchołek góry lodowej, ale nie zgłębiałam już bardziej skomplikowanych i zniuansowanych zagadnień, które składały się na daną kwestię. Moim źródłem poczucia tożsamości stała się grupa, toteż ewentualne wątpliwości mogłam uciszać, mówiąc sobie, że inni wiedzą lepiej. Bardzo bałam się ostracyzmu i bycia osamotnioną w swoich przekonaniach – przyznała szczerze. Dodała, że w aktywizmie nie ma miejsca na niuanse, ponieważ skoro za chwilę możemy przestać istnieć, musimy działać szybko i intensywnie, jesteśmy w stanie zagrożenia egzystencjalnego.

Moment przebudzenia? – W szczycie lockdownu, kiedy wszystko było zamknięte, okazało się, że według wyliczeń klimatystycznych i tak emitowaliśmy za dużo dwutlenku węgla. Pomyślałam sobie wtedy, że chyba nie chcę żyć w świecie zeroemisyjnym, bo już teraz, w czasie lockdownu, mam depresyjny nastrój i nie mam wolności. Na dodatek nagle nikomu nie przeszkadzał wszechobecny plastik, maseczki, przyłbice, plastikowe ekrany oddzielające ludzi w restauracjach i sklepach. Pomyślałam wtedy: o co tu chodzi, od pięciu lat nie użyłam ani razu plastikowej słomki, żeby chronić klimat, a nagle jesteśmy zalani plastikiem, który nikomu nie przeszkadza? I świat się nie skończył? – dzieliła się swoimi wspomnieniami Biggers.

„Po właściwej stronie historii”

Tak rozpoczął się jej kilkuletni, bolesny i niełatwy proces otwierania oczu, dostrzegania złożoności kwestii związanych z ekologią oraz stopnia zideologizowania tego ruchu. Dla młodej kobiety ta zmiana myślenia oznaczała także konieczność przewartościowań w sferze zawodowej, którą przecież związała z aktywizmem klimatycznym. – Na początku wycofałam się ze swojej aktywności medialnej i zaczęłam zajmować się czym innym, ale potem doszłam do wniosku, że nie chcę zabierać do grobu swoich wątpliwości związanych z ruchem klimatycznym. Zaczęłam się więc nimi dzielić. I robię to do tej pory. Ten proces miał jednak swoją cenę, przeżyłam kryzys tożsamościowy. Ważną częścią mojej działalności w ruchu klimatycznym była chęć czucia się dobrym człowiekiem i znajdowania się po „właściwej stronie historii”. Nagle stałam się „białą, uprzywilejowaną Amerykanką” bez parasola, jaki dawała wcześniej działalność w ruchu klimatycznym. Musiałam więc zbudować siebie na nowo i oprzeć swoje poczucie tożsamości na innych fundamentach – przyznała.

Być może jednak niedługo zarówno Lucy Biggers, Maya Sulkin, Paul Kingsnorth, Patrick Moore, jak i inni, którym zaczadzenie klimatem przeszło już wcześniej, będą dumni z tego, że dokonali swoich „coming outów”, zanim to było modne, bo – jak pisze w opublikowanym w lutym tego roku artykule Bjørn Lomborg, odwrót od klimatyzmu stanie się powszechny.

„Dominujące niegdyś dążenie do radykalnej przebudowy społeczeństwa w nadziei na zapobieżenie katastrofie klimatycznej upadło. Wystarczy spojrzeć na Davos, festiwal dyskusji od dawna zdominowany przez działania na rzecz klimatu. Ten konsensus został niemal całkowicie porzucony przez jego niegdyś najbardziej zagorzałych zwolenników. Symbolicznym dla tej zmiany stał się fakt, że przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ani razu nie wspomniała o transformacji klimatycznej podczas swojej prezentacji w Davos w Szwajcarii w 2026 roku, mimo że w poprzednich latach stawiała ją na pierwszym planie” – stwierdza Lomborg i dodaje, że proces odwracania się od klimatyzmu nie dotyczy jedynie Europy. Przypomina, że kanadyjski premier Mark Carney kiedyś wzywał do „globalnego zobowiązania do zerowej emisji”, a dziś obiecuje uczynić Kanadę „supermocarstwem energetycznym”. Zdaniem Lomborga jest to wpływ nie tylko polityki Donalda Trumpa, ale przede wszystkim… zderzenia z rzeczywistością. W opinii duńskiego politologa wyborcy mają już serdecznie dość straszenia apokalipsą klimatyczną, a co za tym idzie – kto chce rządzić, musi porzucić już tę retorykę. Szkoda tylko, że – jak to zwykle bywa w historii – cena otrzeźwienia ze szkodliwej ideologii jest dla wielu tak wysoka.

PATRICK MOORE, WSPÓŁZAŁOŻYCIEL I BYŁY LIDER GREENPEACE CANADA, TO PRZYKŁAD „BYŁEGO AKTYWISTY KLIMATYCZNEGO”, KTÓRY ZACZĄŁ KRYTYKOWAĆ EKOLOGIZM.

eprasa.pl e8f8128fed

Ołowiane żołnierzyki w wojnie interesów

Uwaga! To będzie **spiskowa teoria dziejów**. Ale mój nos (czyli intuicja) podpowiada mi, że nowy, emitowany od 11 lutego br. serial Netflixa „Ołowiane dzieci” nie bez powodu ukazał się właśnie teraz. Bo to produkcja podlana ideologią, więc topowe nazwiska (Joanna Kulig, Agata Kulesza, Kinga Preis, Zbigniew Zamachowski, Marian Dziędziel) i wypasiona produkcja. Plenery kręcone w wielu miejscach, gdzie zachował się klimat choć trochę zbliżony do tego z Szopienic sprzed ponad półwiecza.

Monika Małkowska

Sceneria serialu jak z horroru: od razu wiadomo, że w powietrzu wisi katastrofa. Reżyser Maciej Pieprzyca tak kameruje plenery i sceny we wnętrzach „Ołowianych dzieci”, by słońce nigdy tam nie zagościło. Ma być dołująco. Na tym tle pojawiają się paskudne typy: ograniczeni lokalsi, tępi partyjniacy, usłużne zakapiory. Kontrastuje z nimi „Matka Boska Szopienicka”, doktórka (w tej roli Joanna Kulik), którą chyba niebo zesłało do Katowic. Siłaczka. Romantyczka, wierząca w zwycięstwo. Dobra. Piękna postać, ale dlaczego przypomniana akurat teraz?

Kto zyska

Otóż miniserial Netflixa inspirowany wydarzeniami z lat 70. staje się memento dla współczesnych eksploratorów źródeł kopalnianych. Odstąpcie od dawnych metod, bo trujecie! Zobaczcie, na co narażacie dzieciaki i w ogóle cały ekosystem. Żeby nie było: to nie tylko obecna perspektywa, ale i diagnoza światłej lekarki sprzed półwiecza. Jasne, wtedy nie było mowy o Zielonym Ładzie ani ETS, ale serial nie pozostawia wątpliwości, że pani Jolanta Wadowska-Król na pewno przyklasnęłaby tej koncepcji. Cóż więc szkodzi podkręcić aktualne trendy historią „opartą na faktach” i pokazać, jak straszne następstwa ma przemysł ciężki. Krytycy filmowi porównują serial z innymi produkcjami o zatruwaniu środowiska. Moim zdaniem tych analogii nie ma z racji zupełnie innych okoliczności skutkowo-przyczynowych. Ale choćby rozbieżności czasowo-geograficzne. A więc – katastrofa w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej z wiosny 1986 r., którą przypomniał obraz z 2021 r.; heroiczna walka Erin Brockovich o kasę dla wielu poszkodowanych przez firmę Pacific Gas and Electric Company, który to bój



Fot. kadr z filmu

eprasa.pl e8f8128fed

znalazł pozytywny finał w 1996 r., a już cztery lata później historię zekranizował Steven Soderbergh. Akcja „ołowików" dzieje się na Śląsku A.D. 1974. Dlaczego nasze ołowiane trucie odleżało się ponad pół wieku? Bo wcześniej ten temat nie był ideologicznie ani politycznie potrzebny. Tym razem w tle jest system ETS i handel emisjami CO_2. Bo za wygaszaniem polskiego hutnictwa i górnictwa (o czym wielokrotnie pisaliśmy w „TS") stoją zielonoładowa histeria oraz napędzające ją interesy.

MINISERIAL NETFLIXA INSPIROWANY WYDARZENIAMI Z LAT 70. STAJE SIĘ MEMENTO DLA WSPÓŁCZESNYCH EKSPLORATORÓW ŹRÓDEŁ KOPALNIANYCH.

Dawno temu w Szopienicach

Żeby pojąć skalę potransformacyjnych przekrętów w szopienickiej hucie, trzeba zdać sobie sprawę z finansowego potencjału przedsiębiorstwa. W 1834 r. Towarzystwo Górnicze Spadkobierców Georga von Gieschego uruchomiło w Szopienicach hutę cynku. Ponad ćwierć wieku później firma przejęła Hutę Paweł, a w 1880 r. – Hutę Norma. Potem jak po sznurku przedsiębiorstwo skupowało wiele innych hut cynku, aż w 1912 r. koncern Gieschego stał się największym na Śląsku producentem metali nieżelaznych i największym ośrodkiem kadmu na świecie. Z tego bogactwa skorzystali robotnicy, którym wybudowano osiedla w pobliżu firmy. Familoki oraz zabudowania huty cynku zostały zaprojektowane przez kuzynów Zillmannów, tych samych, co budowali istniejący do dziś Nikiszowiec. Przechodząc do czasów powojennych: w 1946 r. koncern został upaństwowiony, a w 1947 r. przyjął nazwę Zakłady Cynkowe Szopienice. Od 1972 r. zakład (wzbogacony o wiele innych hut i rafinerii) używał nazwy Huta Metali Nieżelaznych Szopienice. Tak, z pewnością firma truła, jak wiele innych kiedyś i teraz. Z tego powodu w czerwcu 1976 r. zakończono produkcję cynku w Hucie Uthemann. Dwa lata później zamknięto najnowocześniejszą na świecie walcownię. Po transformacji 1989 r. szopienickie przedsiębiorstwo zostało skomercjalizowane.

Krzywdy i wyciszenia

Wieloetapowe i wieloletnie konanie Huty Metali Nieżelaznych Szopienice odbywało się w ciszy i przynosiło fortuny tym, którym na tej ciszy zależało. Doktor Jolanta Wadowska-Król, heroini walki o zdrowie szopienickich dzieci, na pewno nie należała do beneficjentów. A ponieważ rozstała się z doczesnością w wieku 83 lat niecałe trzy lata temu, o prawdę o niej walczą potomkowie. Odezwał się też wnuk profesor Bożeny Hager-Małeckiej (granej przez Agatę Kuleszę), który stanął w obronie wizerunku swej babki, postaci wyjątkowo skrzywdzonej w serialowej wersji. To pod jej nadzorem prowadzone były badania tysięcy dzieci, które wykazały masowe zatrucie środowiskowe, to ona pierwsza zdiagnozowała ołowicę; ona też odważyła się sporządzić w 1974 r. ściśle tajny raport, który trafił do aparatu partyjnego i choć nie został ujawniony opinii publicznej, spowodował przesiedlenie ludzi mieszkających najbliżej huty. W 1975 r. zdecydowano o wyburzeniu familoków z Targowiska, tj. budynków położonych najbliżej zakładowych kominów.

Prywatny biznes w Szopienicach

Z dniem 1 lipca 1998 r. huta została przekształcona w spółkę akcyjną. W 2000 r. spółka weszła do grupy kapitałowej Impexmetal SA, w 2005 r. zaś– w struktury grupy kapitałowej Boryszew. We wrześniu 2008 r. zdecydowano, że spółka akcyjna zostanie rozwiązana i zacznie się proces likwidacji huty. Ale pojawiła się komplikacja – w listopadzie tegoż roku sąd wstrzymał likwidację spółki na wniosek skarbu państwa, mniejszościowego (32%) udziałowca, co... nic nie dało. W 2010 r. Huta Metali Nieżelaznych Szopienice, w której większościowy pakiet (62%) posiadał Hutmen, zawarła z brazylijską firmą Paranapanema umowę zbycia linii produkcyjnej walcowni taśm z miedzi i stopów za 4,2 mln euro. I co za zbieg okoliczności: 13 listopada 2011 r. częściowo spłonął zabytkowy budynek dawnej Huty Uthemann. Około 2016 r. zakończono

DLACZEGO NASZE OŁOWIANE TRUCIE ODLEŻAŁO PONAD PÓŁ WIEKU? BO WCZEŚNIEJ TEN TEMAT NIE BYŁ IDEOLOGICZNIE ANI POLITYCZNIE POTRZEBNY.

eprasa.pl e8f8128fed

prace obejmujące wywóz odpadów i zabezpieczające grunty, co umożliwiło nowym właścicielom zagospodarowanie terenu. Zrekultywowane tereny w Katowicach-Szopienicach stały się gruntami inwestycyjnymi gotowymi pod działalność przemysłową, usługową lub rekreacyjną. No i mamy! Na miejscu najbardziej skażonych familoków na Burowcu obecnie mieści się Skwer Hilarego Krzysztofiaka i Basen Burowiec. W 2025 r. spółka PFR Nieruchomości SA oferowała 524 mieszkania na wynajem na nowym osiedlu katowickiej dzielnicy Szopienice. Ta sama firma wybudowała 513 mieszkań na osiedlu Nikiszowiec. Widziałam, naprawdę niebrzydkie, z użyciem cegły i „kolorystyki związanej z lokalnym krajobrazem". Tylko... na pewno nie na robotniczą kieszeń, jak kiedyś były familoki.

CO NAJBARDZIEJ BIERZE ODBIORCĘ? CHORE DZIECI! I OTO POJAWIA SIĘ DUSZOSZCZYPATIELNY SERIAL O TRUCIU MALUCHÓW OŁOWIEM.

Serial da zarobić

Od co najmniej 2008 r. trwa proceder uruchamiania zagranicznych zakładów produkujących gaz cieplarniany HFC-23 wyłącznie w celu zamknięcia i uzyskania w ten sposób pakietów uprawnień do emisji o znaczniej wartości rynkowej. Zatem w Polsce jest presja na wygaszanie kopalni i hut. Co więcej, wdrukowano ludziom do głów, że aby „ratować planetę", muszą zapłacić więcej za energię, która pochodzi ze źródeł odnawialnych, takich jak słońce, wiatr, woda, biomasa czy biogaz. A że u nas znalazło się wielu sceptyków tej koncepcji, trzeba było zadziałać socjotechnicznie. Co najbardziej bierze odbiorcę? Chore dzieci! I oto pojawia się duszoszczypatielny serial o truciu maluchów ołowiem. Na finalnej planszy po ostatnim odcinku czytamy: „Najnowsze badania wykazują, że mimo zamknięcia huty w 2008 stężenie ołowiu wokół zakładu nadal przekracza wartości dopuszczalne przez Światową Organizację Zdrowia". Konsekwencją promowania działań i postaci bohaterki serialu jest Centrum Badań nad Środowiskiem Poprzemysłowym im. Jolanty Wadowskiej-Król, zainagurowane 19 stycznia tego roku. Czujecie to? Będą dłubać w temacie i w terenie, które choć prawie jałowe, są wciąż dochodowe. „Ołowiane dzieci" dodadzą skrzydeł.

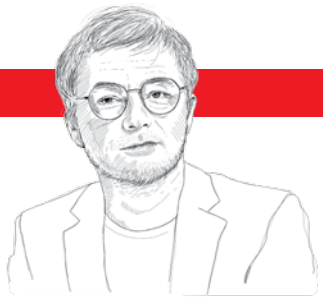
Podkręcenie dramatu

Historię lekarki z Szopienic przedstawiali wcześniej w książkach Marta Fox, Magdalena Majcher i Michał Jędryka. Ba, w 2013 r. na YouTubie pojawił się film „Matka Boska szopienicka", ze scenariuszem i w reżyserii Małgorzaty Król, wnuczki lekarki. Był to reportaż przygotowany na szkolny konkurs „Szukamy bohaterów", z udziałem „doktórki" i jej męża – a więc najbliższy prawdzie. Prawie dekadę później (w 2022 r.) powstał spektakl teatralny „Matka Boska Szopienicka" w reżyserii Agnieszki Cygan, także wnuczki Jolanty Wadowskiej-Król. Było jeszcze w 2023 r. słuchowisko przygotowane na podstawie książki Marty Fox „Kanarek umiera pierwszy". To jednak wciąż „nie żarło" jako materiał na serial. „Ołowiane dzieci" kręcono, zanim pojawiły się wątpliwości wokół ETS. Dlatego eskalowano emocje. Prawdziwa „doktórka od familoków" wcale nie przyjechała z Polski Centralnej. Pochodziła z Katowic, znała tamtejsze realia i nie działała w osamotnieniu. Nie miała też tak dramatycznych przeżyć, jak pokazano w serialu. Żadnych wywożeń do lasu w torbie na głowie, przystawianych pistoletów do głowy, spaleń samochodu (prywatnego państwa Królów). Żadnych zachorowań na ołowicę lekarki ani rodzenia dziecka w trakcie choroby. Widownia przyjęła serial z mieszanymi uczuciami. Od aplauzu po ostrą krytykę. Szczególnie dotknięci poczuli się mieszkańcy Szopienic. „Ten serial to jedno wielkie rozczarowanie, w którym ludzi przedstawia się jak skrajnych, prymitywnych idiotów", zauważa jedna z oglądających. Ktoś inny dorzuca: „Zamiast oddać tę historię taką, jaką była, twórcy poszli w kierunku jakiejś sensacji". No właśnie – chodziło o wywołanie szumu, a jednocześnie o przykrycie geszeftów związanych z terenami po hucie i familokach. Tak, wiem, to zupełnie inna historia, ale obie opowieści są ze sobą splecione.

„OŁOWIANE DZIECI" KRĘCONO, ZANIM POJAWIŁY SIĘ WĄTPLIWOŚCI WOKÓŁ ETS. DLATEGO ESKALOWANO EMOCJE.

eprasa.pl e8f8128fed

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Reforma dobra, bo szkodzi

Jan Wróbel

Średni czas oczekiwania na wyrok w sprawie cywilnej jest blisko dwa razy dłuższy niż 14 lat temu. W czasie tych 14 lat Polska zmieniła się zaskakująco, bo na korzyść, w wielu wymiarach. W sądach, cholera, jest coraz gorzej. Przecież nie dość, że sprawność systemu spada, to sędziowie (niektórzy, ale wystarczy) podważają wyroki sądów. Nie ze względu na treść orzeczeń, ale ze względu na skład sędziowski. Piekło i sztuczna noga, jak mawiano w moim domu (AI naucza: „Funkcjonuje jako ekspresyjne, nieco staroświeckie zawołanie oznaczające silne zdenerwowanie, zaskoczenie, oburzenie lub frustrację. Innym razem AI twierdzi, że takiego powiedzonka w ogóle nie ma. Wspaniale).

I wiecie, Państwo, co? Wybaczamy naszym politykom brak zainteresowania naprawą wymiaru sprawiedliwości. Zadowalamy się reformami. Tu i ówdzie reforma oznacza strukturalną zmianę na lepsze. A reformy sądownictwa to tylko działania zafiksowane na zaszkodzeniu części sędziów kosztem pogorszenia działania sądownictwa jako całości. PiS prosi nas, byśmy uwierzyli, że silne zdenerwowanie, zaskoczenie lub frustracja „kasty” jest właśnie reformą. KO w lustrzanym odbiciu podaje nam bajdę do wierzenia, że reformą będzie usuwanie neosędziów.

Nie rozumiem mechanizmu tej wiary. Tak, owszem, w każdym społeczeństwie znajdziemy ludzi o niewielkich możliwościach poznawczych, za to pewnych swego. Im popisowa karma smakuje. Uproszczona, sprowadzona do konfliktu personalnego bzdura jest akurat w zrozumieniu. Coś jak potoczne objaśnienie dualizmu korpuskularno-falowego: dachówka. Kiedy leży na dachu, jest falowa, kiedy spada na głowę, jest korpuskularna, i wszystko jasne. Poniekąd.

Chyba jednak więcej jest ludzi dostrzegających, że prostackie wynurzenia akolitów Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska to kłamstwa na krótkich, sztucznych nogach. Efekty wieloletniego mieszania w sędziowskim kotle widać bez trudu. Jest gorzej, niż było i nie ma nadziei na poprawę. Liderzy PiS i PO potrafią wykorzystywać problemy, które tworzą. Rozkręcają hydraulikę i zostawiają. Nawet najbardziej gamoniowata wspólnota mieszkaniowa zmienia w takiej sytuacji ekipę, nawet najmniej chętny do konfrontacji lokator nie płaci rachunku za „naprawę”. No, tak, ale hydraulicy nie są w stanie nas przekonać, że skoro pryska woda w kuchni u lewaków z pierwszego piętra, to naprawa się udała, chociaż w naszym kranie woda nie leci.

Ponieważ nadzieja umiera ostatnia, liczyłem na Karola Nawrockiego. Obowiązek reprezentowania wszystkich Polaków i delikatna konfrontacyjka z PiS (którego notowania nie są dobre) były tej nadziei podstawą. Dobra, można się ze mnie śmiać, zrozumiem. Prezydent zaproponował własną ustawę o KRS. Jej paliwem jest wyszydzenie sędziów trzymających z Donaldem Tuskiem. Cóż – to znowu oferta „reform” uszytych podług potrzeb zakutych łbów. A co z ludźmi normalnymi? S

„HYDRAULICY” SĄ W STANIE NAS PRZEKONAĆ, ŻE SKORO PRYSKA WODA W KUCHNI U LEWAKÓW Z PIERWSZEGO PIĘTRA, TO NAPRAWA SIĘ UDAŁA, CHOCIAŻ W NASZYM KRANIE WODA NIE LECI.

eprasa.pl e8f8128fed

QUO VADIS, Morawiecki?

Choć huczy od plotek o rychłej secesji Mateusza Morawieckiego i założeniu przez niego nowej prawicowej formacji, to rzeczywistość wydaje się znacznie bardziej złożona niż prosty scenariusz na polityczny rozwód. Były premier wcale nie pakuje walizek – on **konsekwentnie buduje** fundamenty pod nowy kształt Prawa i Sprawiedliwości. Wbrew trwającej wojnie na „spiny" i medialne wrzutki, jego cel jest jeden: przejąć stery partii z rąk Jarosława Kaczyńskiego z jego pełnym namaszczeniem, zachowując jej jedność, ale zmieniając kurs na bardziej pragmatyczny. Ku centrum.

Andrzej Gajcy



Spotkanie z udziałem wiceprezesa PiS Mateusza Morawieckiego, Gdynia, 21.02.2026 r.

Fot. Łukasz Dejnarowicz / Forum

eprasa.pl e8f8128fed

Ktoś mógłby złośliwie rzec: jak nie idzie, to nie idzie. Ostatnie tygodnie to dla Prawa i Sprawiedliwości jeden z najtrudniejszych okresów od lat. Sondaże, w których partia niebezpiecznie zbliża się do dwudziestoprocentowego progu, oddając pole rosnącej w siłę Konfederacji oraz Koronie Polskiej Grzegorza Brauna, budzą na Nowogrodzkiej zrozumiały niepokój. Na domiar złego ugrupowanie zmaga się z wewnętrznym paraliżem – konfliktem frakcji Mateusza Morawieckiego z politykami skupionymi wokół Tobiasza Bocheńskiego, Jacka Sasina czy Patryka Jakiego, którego nie widać końca. Mimo oficjalnych zapewnień o jedności i prób zdyscyplinowania przez samego Jarosława Kaczyńskiego partyjnych fighterów ten pożar wciąż się tli, wybuchając z nową siłą przy każdej nadarzającej się okazji.

Niczym dolaniem benzyny do ognia stały się niedawne doniesienia medialne sugerujące, że były szef rządu przygotowuje się do opuszczenia PiS. Organizowane przez niego spotkania w terenie interpretowano nie jako wsparcie dla partii, lecz jako budowanie struktur pod nową formację i zbieranie deklaracji lojalności od lokalnych działaczy, by za kilka miesięcy, kiedy ruszą przymiarki do budowania wyborczych list Prawa i Sprawiedliwości, mieć w ręce mocne karty w postaci zdolności do pójścia swoją polityczną drogą.

I choć Morawiecki kategorycznie zaprzeczył tym publikacjom, stawiając sprawę jasno, że nie ma żadnych planów na opuszczenie Prawa i Sprawiedliwości, to wewnątrz ugrupowania i tak zdążyły paść oskarżenia o „grę na podział" i polityczny szantaż. Zapewne kolejka do ucha prezesa Kaczyńskiego gwałtownie się w tych dniach wydłużyła. Jak zwykle przy tego typu awanturach każdy chciał być tym pierwszym, który „otworzy Jarkowi oczy" na rzekomą zdradę Morawieckiego i plany na poważne zaszkodzenie całemu ugrupowaniu.

Analizując jednak na chłodno te wydarzenia, trudno nie odnieść wrażenia, że wystarczy jedna głośna publikacja, by w PiS ponownie ruszyła lawina wzajemnych pretensji, odsłaniająca głębokie pokłady niechęci, które żywią do siebie poszczególni politycy tego obozu. Zapominający po raz kolejny o tym, kto dziś jest u władzy i z kim największa partia opozycyjna powinna przede wszystkim dziś walczyć, by powrócić do ław rządowych.

Korporacyjny plan zamiast emocji

Nikt jednak nie zadał sobie trudu, by postawić kluczowe pytanie: czy całą tą sytuacją ktoś nie zarządza z iście korporacyjną precyzją? Patrząc wstecz, widać wyraźnie, że żaden rozłam w partii Jarosława Kaczyńskiego nie skończył się dla secesjonistów dobrze. Przekonali się o tym przed laty choćby twórcy istniejącej krótko formacji Polska Jest Najważniejsza, której ówcześni liderzy, jak np. Joanna Kluzik-Rostkowska, Paweł Kowal czy Paweł Poncyljusz, wylądowali ostatecznie na listach Platformy.

Zrozumieli to doskonale liderzy Suwerennej Polski. Zbigniew Ziobro i Patryk Jaki formalnie wrócili na łono Nowogrodzkiej jako wiceprezesi PiS. To „ziobryści" – zdaniem części polityków PiS – próbują dziś przejąć ją metodą „suwpolizacji" – radykalnego skrętu w prawo w pogoni za elektoratem, który zamiast patrzeć na Prawo i Sprawiedliwość, poszedł do Konfederacji czy Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Morawiecki gra jednak inaczej. Jego celem – wbrew medialnym spinom – nie jest własna partia-kanapa, lecz zastąpienie Jarosława Kaczyńskiego na fotelu prezesa z jego pełną aprobatą i z jego pełnym namaszczeniem. To gra wieloetapowa o pełną sukcesję, a nie o marginalny byt na obrzeżach prawicy.

Chce kierować PiS-em równie silną ręką, ale w innym stylu. Zdaje sobie sprawę, że aby Prawo i Sprawiedliwość wróciło do władzy, a on na fotel premiera – z czego absolutnie dzisiaj nie zrezygnował – partia musi odzyskać zdolność koalicyjną, którą utraciła w 2023 roku. Morawiecki doskonale pamięta, że to właśnie brak otwarcia na centrum i zbyt radykalny kurs przesądziły o porażce, przed czym zresztą bezskutecznie ostrzegał prezesa na miesiące przed wyborami. Dziś te argumenty powracają w jego rozmowach z Kaczyńskim jako przestroga przed rokiem 2027.

> NICZYM DOLANIEM BENZYNY DO OGNIA STAŁY SIĘ NIEDAWNE DONIESIENIA MEDIALNE SUGERUJĄCE, ŻE BYŁY SZEF RZĄDU PRZYGOTOWUJE SIĘ DO OPUSZCZENIA PiS.

Budowa „polisy ubezpieczeniowej"

Były premier, jak chyba nikt bardziej w PiS, wyciągnął lekcję z przejścia do opozycji. Zrozumiał, że aby przetrwać w partii, która długo traktowała go jako ciało

eprasa.pl e8f8128fed

obce, nazywając złośliwe „technokratą” czy „banksterem od Tuska”, musi zbudować własne zaplecze. To mu się udało – dysponuje dziś frakcją, która stała się jego polisą ubezpieczeniową. Zmienił się też on sam. Dawna powściągliwość technokraty ustąpiła miejsca politycznej asertywności. Słowa o „końcu skakania po pagonach” i zapowiedź, że na każdy atak odpowie „fangą”, to jasny sygnał: Morawiecki nie jest już tylko „gościem” w PiS i „premierem do bicia”.

> WIELU W PARTII KACZYŃSKIEGO DZISIAJ PRZYZNAJE Z NIEDOWIERZANIEM I CEDZĄC SŁOWA PRZEZ ZĘBY, ŻE MORAWIECKI STAŁ SIĘ W ZASADZIE NIE DO RUSZENIA.

Wielu w partii Kaczyńskiego dzisiaj przyznaje z niedowierzaniem i cedząc słowa przez zęby, że Morawiecki stał się w zasadzie nie do ruszenia. Choć w tej skomplikowanej układance pozycja byłego premiera wydaje się stabilna, to jednak znacznie mniej bezpieczni są jego współpracownicy. Ludzie ci, pogardliwie nazywani przez partyjną starą gwardię „harcerzami”, regularnie trafiają na celownik jako najwygodniejszy element nacisku na swojego lidera. Uderzenie w otoczenie ma być czytelnym sygnałem ostrzegawczym wysyłanym w stronę Morawieckiego i jest nim rzeczywiście.

Mateusz Morawiecki zdaje się jednak przyjmować tę presję z chłodnym spokojem, konsekwentnie realizując plan ucieczki. Zamiast wdawać się w personalne utarczki, prowadzi osobisty objazd po kraju – niezależny od Nowogrodzkiej, a wręcz nawet konkurujący z partyjnymi konwencjami – podczas którego nakreśla szerszą wizję: budowę silnego, merytorycznego skrzydła wewnątrz PiS. Ma to być formacja łącząca konserwatywny fundament z nowoczesnym spojrzeniem na rozwój gospodarki i technologie.

> OBJAZD BYŁEGO PREMIERA PO POWIATACH TO COŚ WIĘCEJ NIŻ TYLKO SPOTKANIA Z WYBORCAMI – TO MOZOLNE BUDOWANIE WŁASNEGO ZAPLECZA.

To właśnie z tym przesłaniem były premier przemierza dziś kraj. Jego objazd po powiatach to coś więcej niż tylko spotkania z wyborcami – to mozolne budowanie własnego zaplecza i przekonywanie lokalnych działaczy, że to właśnie jego wizja partii jest jedyną szansą na odzyskanie sterów państwa w przyszłości.

Wielu komentatorów, ale także polityków PiS, będących w ostrej opozycji do byłego premiera, postrzega jego osobne wyjazdy w teren – jak ten niedawny do Słupska, podczas gdy reszta kierownictwa debatowała o obronności w Stalowej Woli – jako dowód na rozłam. Jednak to raczej manifestacja samodzielności. Wie, że jest w partii nietykalny, bo PiS nie może sobie pozwolić na utratę jego struktur, jeśli marzy o zwycięstwie. To byłby nokaut, z którego PiS nie pozbierałoby się tak szybko. A na pewno nie przed jesienią 2027 roku.

Finałowa partia szachów

Wszystkie medialne spekulacje o jego odejściu stają się amunicją w rękach przeciwników, ale paradoksalnie mogą też służyć samemu Morawieckiemu. Kreując obraz polityka lojalnego, a jednocześnie jedynego, który mógłby realnie zagrozić stabilności partii, umacnia swoją pozycję negocjacyjną u prezesa. Kaczyński za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy wielokrotnie powtarzał, że nie widzi lepszego kandydata na premiera niż Morawiecki. Ta gra trwa nadal, a w interesie samego Morawieckiego jest kontynuowanie tej strategii i usuwanie wszelkich pretendentów do zajęcia fotela szefa rządu, który – jak uważa – należy się wyłącznie jemu.

Nawet jeśli w marcu prezes Kaczyński ogłosi inne nazwisko kandydata PiS na szefa rządu, Morawiecki wie, że droga do wyborów jest daleka, a rzeczywistość polityczna potrafi brutalnie zweryfikować każdego faworyta. On sam woli grać długodystansowo – nie jako buntownik, ale jako jedyny logiczny wybór, gdy dojdzie do decydujących rozmów o tworzeniu przyszłego prawdopodobnie koalicyjnego rządu. A w przyszłości także jako jedyny następca samego Jarosława Kaczyńskiego w partii.

eprasa.pl e8f8128fed

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Jak długo jeszcze?

Kiedy w 2005 roku do Sejmu weszła Samoobrona media lewicowo-liberalne załamywały ręce nad nieuchronnym upadkiem polskiego parlamentaryzmu i debaty publicznej. Dziś, nieco ponad 20 lat później, ówczesne dyskusje w Sejmie i mediach można wspominać z rozrzewnieniem. Współczesną „debatę" publiczną dzielą bowiem od nich lata świetlne. Pytanie, gdzie jest granica tego szaleństwa?

Niektórzy twierdzą, że obecnie nie mamy do czynienia z polityką, ale postpolityką. Trzeba przyznać, że to ładne, quasi-naukowe określenie na dość ponurą rzeczywistość. Nie chodzi oczywiście, by polska była wymuskana i wysublimowana niczym brytyjska Izba Lordów, choć i tam doszło do istotnych zmian. Tyle że to, co obserwowaliśmy 10–20 lat temu, było na ogół niewinnym przekomarzaniem się w porównaniu z tym, co obserwujemy teraz. Dziś nie przekraczamy już kolejnych granic. My je świadomie rozdeptujemy, rozjeżdżamy i orzemy. Debata publiczna już dawno przestała być debatą. Stała się widowiskiem, w którym liczy się nie argument, lecz cios. Nie przekonanie, lecz upokorzenie. Nie prawda, lecz viral. Najlepiej więc, by przeciwnika widowiskowo zaorać bądź zmiażdżyć, a następnie zrobić na tym duże zasięgi. Jutro i tak nie będzie o tym nikt pamiętał. Liczy się to, co „tu i teraz".

Język polityki zawsze bywał ostry, ale dziś jest szczególnie ordynarny, prymitywny i celowo odczłowieczający. To oczywiście nie jest przypadek, lecz strategia. Odczłowiecz przeciwnika – wtedy wolno wszystko. Wówczas nie ma już sporu o podatki czy model państwa. Jest walka dobra ze złem, w której druga strona nie ma prawa istnieć. Wszystko przy współudziale mediów, które zamiast tonować – podkręcają. Nagłówki krzyczą, paski grozy straszą. Liczy się klik, zasięg, emocja, bo wszystko to przynosi konkretny pieniądz.

Do tego wszystkiego dochodzą rzecz jasna media społecznościowe, w których najbardziej zyskuje ten, kto najmocniej przywali. Algorytmy nagradzają bowiem emocje i zaangażowanie. A nic się tak nie sprzedaje, jak negatywne emocje. Umiar się nie klika. Zwykli użytkownicy uczą się od polityków, politycy uczą się od najbardziej radykalnych użytkowników – i tak nakręca się spirala. A w niej nie ma miejsca na wątpliwość, bo to oznaka słabości.

Najbardziej przygnębiające jest to, że regres i obecny stan rzeczy nikogo już szczególnie nie dziwi. Wszyscy się do tego przyzwyczailiśmy. Kiedyś polityczny skandal żył tygodniami, a dziś to najwyżej kilka godzin, bo za chwilę pojawi się kolejny. Granice też zostały przesunięte tak daleko, że właściwie przestały istnieć. Publiczne wyzwiska? Wyciąganie życia prywatnego? Insynuacje? Norma. Pytanie nie brzmi więc, czy przekroczymy kolejną granicę, ale raczej, czy jakakolwiek jeszcze została do przekroczenia. Zostawiam to pod rozwagę. Wszystkim.

eprasa.pl e8f8128fed

Luka VAT znowu rośnie



Fot. Adobe Stock

– Narzędziem zbrodni jest „pusta” faktura. Przestępcy podatkowi tworzą sieć firm, które fikcyjnie obracają między sobą towarami, w tym wysyłają je za granice, i znów importują je do Polski – mówi **Jan Sarnowski w rozmowie z Jakubem Pacanem.**



Fot. archiwum J. Sarnowskiego

eprasa.pl e8f8128fed

– Wraz z dr. Pawłem Selerą napisaliście Panowie imponującą książkę „Ograniczenie luki VAT w Polsce w latach 2016–2022. Przyczyny – środki – dalsze perspektywy". To kompletne dziełko dla laików i profesjonalistów. Skąd taka potrzeba?

– W Polsce brakowało publikacji, która pokazuje, jak ogromne znaczenie ma VAT dla państwa i jego obywateli. W debacie publicznej większe znaczenie mają podatki dochodowe czy nawet podatek od nieruchomości. Tymczasem w 2025 r. VAT odpowiadał za ponad 62% wpływów podatkowych do budżetu. Dawał państwu pięć razy więcej środków niż CIT i aż jedenaście razy więcej niż PIT. Spadek wpływów z VAT to przepis na kryzys finansów publicznych i na eksplozję zadłużenia Polski. Tymczasem w latach 2013–2015 co czwarta złotówka z tytułu VAT lądowała nie w budżecie państwa, tylko w szarej strefie lub w kieszeniach przestępców podatkowych. Książka opisuje działania, które przyniosły zmniejszenie luki VAT o niemal 90%. Dodatkowe wpływy pozwoliły Polsce na prowadzenie proaktywnej polityki społecznej i gospodarczej, m.in. na obniżenie wieku emerytalnego, wsparcie rodzin z dziećmi poprzez wdrożenie programu „Rodzina 800+" czy zwolnienie z podatku dochodowego młodych ludzi, którzy nie ukończyli 26. roku życia. Znaczenie VAT jest fundamentalne dla tych, którzy wierzą w wizję Polski „szklanych domów".

– A wie Pan, że czytałem tę książkę jak sylabus?

– Istotnie to podręcznik uszczelniania VAT. Jest to jedyna książka, która przedstawia nie tylko zmiany w przepisach prawa, ale i nowe formy współpracy pomiędzy administracją a biznesem, elektronizację rozliczeń i zmiany w praktyce działania administracji. Znaczna część publikacji dotyczy walki z tzw. mafiami VAT, tj. z grupami przestępczymi, które organizują przestępstwa akcyzowe i karuzele podatkowe. Według najnowszych raportów Komisji Europejskiej, podatkowi przestępcy odpowiadają za ok. 40% ubytków w VAT. Oznacza to, że w wyniku ich działań tylko w 2025 r. polski budżet mógł stracić nawet 20 mld zł, czyli ok. 110 mln zł dziennie. W największym napadzie na bank w USA przestępcy ukradli 110 mln USD [2022 r. – przyp. red.]. Czyli to tak, jakbyśmy co cztery dni mieli w Polsce amerykański „skok stulecia".

KARUZEL VAT-OWSKICH NIE BUDUJĄ FILMOWI GANGSTERZY, A EKSPERCI W GARNITURACH I KRAWATACH.

– Czym jest „karuzela VAT"?

– Jest to oszustwo podatkowe, które służy wyłudzeniu nienależnych wypłat z budżetu państwa. Narzędziem zbrodni jest „pusta" faktura. Przestępcy podatkowi tworzą sieć firm, które fikcyjnie obracają między sobą towarami, w tym wysyłają je za granice, i znów importują je do Polski. Korzystając ze specyfiki unijnego VAT, kontrolowane przez mafię firmy uciekają z pobranym od kontrahentów podatkiem lub wnioskują o nienależne zwroty VAT. Dla uwiarygodnienia swojego procederu podatkowi przestępcy angażują w fikcyjny obrót firmy, które są już obecne na rynku i które prowadzą uczciwą działalność. Tacy przedsiębiorcy są często bezwiednie wciągani do współpracy z mafiami VAT – bez świadomości, że może to dla nich oznaczać konieczność zapłaty nieodprowadzonego przez przestępcę podatku, a nawet karę więzienia. Karuzel nie budują filmowi gangsterzy, a eksperci w garniturach i krawatach. W tylko jednej z wykrytych karuzel towar fikcyjnie krążył pomiędzy 170 firmami w Polsce i 55 kolejnymi za granicą. Obrót nim odbywał się między 11 państwami.

WEDŁUG RAPORTU KOMISJI EUROPEJSKIEJ Z GRUDNIA 2025 ROKU PODATKOWI PRZESTĘPCY MOGĄ KRAŚĆ Z BUDŻETÓW PAŃSTW UE NAWET 60 MLD EUR ROCZNIE. TO NIEAKCEPTOWALNY SKANDAL.

eprasa.pl e8f8128fed

Za pomocą tego oszustwa przestępcy „ukradli" z budżetu państwa aż 108 mln zł i „wpadli" przy próbie wyłudzenia kolejnych 570 mln zł.

– Od pojawienia się pierwszej karuzeli VAT-owskiej w Polsce minęło ponad 20 lat. Dlaczego państwo nie było w stanie poradzić sobie z tym problemem? To niechęć czy nieumiejętność kolejnych rządów?

– Problem mafii podatkowych i ogromnej skali wyłudzeń przez dekady funkcjonował jedynie w mediach, a nie w polityce. Brak proaktywnej polityki państwa w zakresie podatków sprzyjał sukcesom mafii. W Polsce wrota do uszczelnienia otworzył rok 2015, w którym osią debaty publicznej stało się stworzenie uczciwego, efektywnego państwa, które wyrówna reguły rynkowej konkurencji oraz będzie prowadziło ambitną politykę społeczną. Ścieżką dla realizacji takiej polityki, przy zachowaniu stabilności finansów publicznych, były reformy podatkowe lat 2016–2021. Ogromną rolę w wyjaśnieniu ich sensu odegrała skierowana do przedsiębiorców kampania informacyjna ostrzegająca przed bezwiednym wmanewrowaniem w udział w organizowanej przez przestępców „karuzeli VAT" oraz działanie sejmowej Komisji Śledczej ds. VAT, dzięki której ten temat pierwszy raz stanął w Polsce w centrum debaty publicznej. Na ich efekty nie trzeba było długo czekać. Wg badań Komisji Europejskiej luka VAT zmniejszyła się w Polsce niemal dziesięciokrotnie, do poziomu ok. 3% w roku 2021. Pozwoliło to na prowadzenie aktywnej polityki społecznej oraz poprawiło kondycję uczciwych firm. W ciągu kilku miesięcy od „uszczelnienia" sprzedaż paliw wzrosła o niemal 1/3. Wartość fikcyjnych faktur w dwa lata zmniejszyła się o 3/4 – polskie firmy nie musiały już konkurować z oszustami. To był czas wyjątkowych sukcesów.

POLSKA POZOSTAJE PAŃSTWEM, W KTÓRYM DZIAŁALNOŚĆ MAFII VAT JEST NAJMNIEJ OPŁACALNA W EUROPIE, A TEMPO WYKRYWANIA FIKCYJNEGO OBROTU NIE ODBIEGA OD UNIJNEJ ŚREDNIEJ.

– TSUE wielokrotnie wypowiadał się na temat wyłudzeń VAT – nie tylko w Polsce, ale również w innych krajach UE. Czy to oznacza, że temat jest największą bolączką właśnie w UE?

– Unia Europejska jest największą strefą wolnego handlu na świecie i jedyną, w ramach której ujednolicono zasady rozliczenia VAT. W efekcie powstał ekosystem prawno-ekonomiczny, który ułatwił działanie przestępcom podatkowym. O skali wyłudzeń głośno stało się w roku 2007, kiedy Izba Lordów opublikowała raport, według którego straty brytyjskiego budżetu w wyniku działania mafii VAT wynosiły miliardy funtów rocznie. Po niemal dwóch dekadach problem wciąż jest aktualny – według raportu Komisji Europejskiej z grudnia 2025 r. przestępcy podatkowi mogą kraść z budżetów państw UE nawet 60 miliardów euro rocznie. To nieakceptowalny skandal.

– Dlaczego Unia Europejska na to pozwala?

– Zwalczanie zorganizowanych grup przestępczych jest przede wszystkim odpowiedzialnością państw członkowskich. Przełom przyniósł dopiero rok 2025, kiedy w ramach nowego pakietu zmian w dyrektywie VAT zadecydowano, że od połowy 2030 r. prawo europejskie wymagać będzie od państw dokumentowania międzynarodowego obrotu za pomocą elektronicznych faktur. Wciąż mamy do czynienia z paradoksem – integracja europejska wymaga wdrożenia jednolitych zasad opodatkowania, które ułatwiają działanie „mafiom VAT". Jednocześnie nie nakazuje się państwom wdrożenia podatkowych bezpieczników integracji, które zabezpieczałyby ich budżety przed działalnością podatkowych przestępców. Państwa chcące „uszczelniać" VAT musiały działać na własną rękę – bez wsparcia Brukseli.

– Jak Wam się udało zmniejszyć lukę VAT w Polsce z poziomu prawie 25% w 2015 roku do około 2,5% w 2021 roku?

– To efekt wprowadzenia kompleksowej strategii walki z podatkowymi przestępcami. Objęła ona trzy segmenty: zmiany w przepisach prawa, technologiczną rewolucję w administracji oraz podjęcie współpracy z biznesem. Punktem wyjścia była decyzja o prowadzeniu proaktywnej polityki podatkowej. Polska wdro-

eprasa.pl e8f8128fed

żyła wiele narzędzi sprawdzonych w innych państwach UE, takich jak wzorowane na Portugalii raportowanie za pomocą plików JPK [Jednolity Plik Kontrolny – przyp. red.], wypracowane we współpracy z Czechami algorytmy służące automatycznej analizie danych, węgierski system monitoringu przewozu towarów wrażliwych czy oparty na przykładzie Włoch mechanizm podzielonej płatności i e-fakturowanie. Inne rozwiązania wypracowaliśmy sami, np. pakiet paliwowy czy system analizy przepływów finansowych STIR.

– Spośród rozwiązań, które wtedy wprowadziliście, które uważa Pan za kluczowe?

– Rozwiązaniem, które pozwoliło na automatyczne wykrywanie ogromnej większości fikcyjnego obrotu, było objęcie wszystkich przedsiębiorców obowiązkiem elektronicznego raportowania z wykorzystaniem plików JPK. Z kolei dzięki zastosowaniu mechanizmu podzielonej płatności oszustwa VAT są obecnie w Polsce niemal dwukrotnie mniej opłacalne niż w innych państwach UE. Następnym przełomowym momentem będzie objęcie wszystkich przedsiębiorców elektronicznym fakturowaniem. Dzięki niemu tempo wykrywania przez administrację prób dokonywania wyłudzeń VAT zmniejszy się z około trzech miesięcy do jedynie kilku tygodni. We Włoszech e-fakturowanie przyniosło trwałe zmniejszenie luki VAT – do najniższego poziomu w Europie.

– Od 2022 roku luka VAT znów zaczęła rosnąć. Według raportu Komisji Europejskiej z grudnia 2025 w 2023 roku mogła ona wynosić nawet 16%. To ponad 150% średniej UE, co plasuje nas na trzecim miejscu od końca pod względem szczelności VAT. W 2021 było to około 3%, byliśmy w pierwszej trójce najbezpieczniejszych państw. Może Pan to wytłumaczyć?

– Te dane nie są precyzyjne. Korzystając z dobrej kondycji budżetu, pod koniec roku 2023 resort finansów dokonał bezprecedensowego przyspieszenia zwrotu VAT, de facto przenosząc środki na kolejny rok. Efektem było zmniejszenie wpływów z VAT o około 12 miliardów zł – „na papierze" podniosło to w 2023 roku lukę VAT o kilka punktów procentowych. Faktem jest, że po 2022 roku aktywność przestępców podatkowych zaczęła rosnąć, ale kryzys zaczął się dopiero dwa lata później. Tylko w pierwszej połowie 2024 roku wykryto 140,5 tysięcy fikcyjnych faktur, tj. aż o 103% więcej niż w pierwszej połowie 2023 roku. Według informacji ministra finansów z lutego 2026 roku w 2025 roku skarbówka wykryła ponad 376 tysięcy fikcyjnych faktur, czyli o 30% więcej niż w roku 2024. W latach 2023–2025 skala oszustw podatkowych w Polsce wzrosła zatem ponad dwukrotnie. Jest to m.in. efekt zmniejszonej aktywności resortu finansów, który ograniczył działania informujące podatników o zagrożeniu, jakie stanowią dla ich biznesu mafie podatkowe.

> FAKTEM JEST, ŻE PO 2022 ROKU AKTYWNOŚĆ PRZESTĘPCÓW PODATKOWYCH ZACZĘŁA ROSNĄĆ, ALE KRYZYS ZACZĄŁ SIĘ DOPIERO DWA LATA PÓŹNIEJ.

– Co jeszcze nie zagrało? Gdzie państwo jest najsłabsze?

– Polska pozostaje państwem, w którym działalność mafii VAT jest najmniej opłacalna w Europie, a tempo wykrywania fikcyjnego obrotu nie odbiega od unijnej średniej. „Zadyszkę" obserwujemy w działaniach mających na celu skrócenie czasu potrzebnego administracji na wykrywanie fikcyjnego obrotu. Najbardziej widowiskowym przykładem są obserwowane obecnie trudności związane z wdrożeniem KSeF. Pomimo czterech lat okresu przejściowego administracji nie udało się efektywnie przygotować przedsiębiorców do wdrożenia e-fakturowania – zarówno na poziomie technicznym, jak i na polu dostosowania procesów biznesowych i relacji z kontrahentami. Oznacza to, że na sukces na miarę Włoch pozostanie nam jeszcze długo poczekać.

Jan Sarnowski – doświadczenie zawodowe zdobywał w kancelariach doradztwa prawnego i podatkowego w Berlinie i w Warszawie. Od 2016 roku doradca ministra finansów odpowiedzialny za koordynację procesu ograniczenia luki VAT. W latach 2019– 2022 wiceminister finansów kierujący pionem legislacji podatkowej oraz pełnomocnik ministra finansów ds. współpracy międzynarodowej w zakresie VAT. Nauczyciel akademicki, pracownik naukowo-dydaktyczny Kolegium Zarządzania i Finansów Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Od 2023 roku dyrektor wykonawczy Centrum Studiów Fiskalnych SGH. Wieloletni członek VAT Expert Group przy Komisji Europejskiej. Obecnie kieruje praktyką podatkową w kancelarii Fieldfisher Poland.

eprasa.pl e8f8128fed

...a miało być spokojniej!

W ostatnich latach pomału się to zmienia, jednak reprezentacja kobiet w polskim parlamencie wciąż jest znacząco mniejsza niż w społeczeństwie jako takim. Rekordowa liczba posłanek, które zdobyły mandaty w 2023 roku, to wciąż jedynie 29,1% przy ponad 51% udziału Polek w społeczeństwie. Kobiety w polityce wnoszą do niej kompetencje (lub ich brak), trochę kolorytu i sporo zamieszania. Czy jednak **spełniły się oczekiwania**, które przez lata towarzyszyły postulatowi zwiększenia kobiecej reprezentacji w naszej polityce? Odpowiedź nie jest jednoznaczna.

Krzysztof Karnkowski



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e8f8128fed

Ostatnio najsilniejszy wątek kobiecy naszego życia politycznego to spór między Pauliną Hennig-Kloską a Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz. Pierwsza chciała zostać szefową Polski 2050, ale przegrała z drugą, więc wbrew wcześniejszym zapowiedziom wyprowadziła z partii połowę posłów i założyła nowy klub. Jej rywalka wygrała, nie wiemy jednak, czy nie będzie to zwycięstwo pyrrusowe: liczba posłów wokół Pełczyńskiej-Nałęcz topnieje, więc nie jest pewne, czy utrzyma klub poselski, a jej trudny charakter sprawia, że należy spodziewać się wokół niej kolejnych konfliktów.

> ***Więcej kobiet w polityce to mniej awantur i agresji. Kobiety powinny mieć większy wpływ na to, co dzieje się w polityce.***
>
> **BOŻENA WAWRZEWSKA z Kongresu Kobiet**

Między teorią a praktyką

– Więcej kobiet w polityce to mniej awantur i agresji. Tam, gdzie rządzą kobiety, jest czysto, schludnie, wszystko jest zadbane i dobrze zarządzane. Kobiety powinny mieć większy wpływ na to, co dzieje się w polityce – mówiła w 2020 roku Bożena Wawrzewska z Kongresu Kobiet. Zauważmy, że ten feministyczny argument ma dość konserwatywne, tradycjonalistyczne podstawy, oparte na stereotypowym wizerunku. Ta argumentacja przewijała się przez lata, choć w miarę radykalizacji środowisk feministycznych przenosiła się raczej do naiwnego i życzeniowego dziennikarstwa. Feministki natomiast upominały się o „silniejszy głos kobiet", próbując równocześnie im wszystkim przypisać swoje poglądy. Założenie, że brak wpływu kobiet w polityce utrwala patriarchalne struktury władzy i decyzji publicznych, szybko zweryfikował wzrost poparcia pań dla będących zaprzeczeniem postulatów feministek środowisk obu Konfederacji. Podobnie jest zresztą za granicą. W Wielkiej Brytanii kobiety pełniły urząd premiera jedynie trzykrotnie – za to wszystkie trzy (Margaret Thatcher, Theresa May i Liz Truss) reprezentowały Partię Konserwatywną. To z prawicy wywodziła się Park Geun-hye, pierwsza i jedyna jak dotąd kobieta – prezydent Korei Południowej, tak samo, jak świętująca właśnie swój potężny wyborczy sukces nowa premier Japonii, Sanae Takaichi. To samo założenie prowadziło wcześniej do radykalizacji, a w efekcie słabnięcia kolejnych fal protestów zwolenniczek szerszego dostępu do aborcji, których krzykliwe liderki w rodzaju Marty Lempart raczej odstraszały, niż przyciągały nowe osoby. Środowisko ulicznych aktywistek, dziś tłumnie zasilające rozmaite hojnie dotowane przez władze instytucje, radykalnie rozjeżdża się z wyidealizowaną wizją Bożeny Wawrzewskiej. Marta Lempart, Babcia Kasia, Klementyna Suchanow mogą budzić wiele skojarzeń, ale hasło „mniej awantur i agresji" nie będzie na pewno pierwszym z nich. To właśnie ta grupa wniosła do polskiej polityki zachowania wcześniej obecne co najwyżej w kontekstach subkulturowych. Puentą do tego wątku niech będzie fakt, że pierwszą szefową, a później honorową przewodniczącą marginalnej, lecz mocno lansowanej przez media liberalnej Partii Kobiet, była pisarka Manuela Gretkowska. Ta sama, która niedawno zasłynęła jednym z obrzydliwszych ataków na pierwszą damę, motywowanym uprzedzeniami i nieuzasadnionym poczuciem klasowej i kulturowej wyższości nad Martą Nawrocką i całym jej elektoratem. Czy partia ta była potrzebna Polkom? Jej największym sukcesem było zdobycie jednego mandatu radnej w wyborach samorządowych w 2010 roku. Trzy lata wcześniej, gdy Partia Kobiet jedyny raz w swej historii samodzielnie walczyła o głosy w wyborach parlamentarnych, uzyskała 0,28% w skali kraju. Bliskiej tej grupie lewicowej działaczce Wandzie Nowickiej kilka razy udało się zdobyć mandat poselski, gdy jednak w 2015 roku ogłosiła swój start w wyborach prezydenckich, nie zdobyła wymaganej liczby 100 tysięcy podpisów.

W WIELKIEJ BRYTANII KOBIETY PEŁNIŁY URZĄD PREMIERA JEDYNIE TRZYKROTNIE – ZA TO WSZYSTKIE TRZY REPREZENTOWAŁY PARTIĘ KONSERWATYWNĄ.

Przed przełomem

Po odzyskaniu niepodległości Polska natychmiast przyznała kobietom takie same prawa wyborcze, jak mężczyznom, co bynajmniej nie było wówczas powszechne. O ile jednak czynne prawo wyborcze nie napotykało ograniczeń, gorzej było z prawem biernym. Formalnie nic nie stało na przeszkodzie, by kobiety zasiadały

eprasa.pl e8f8128fed

w ławach Sejmu, w praktyce jednak było ich niewiele. W pierwszej kadencji odrodzonego Sejmu RP zasiadło osiem posłanek, które odegrały sporą rolę w kształtowaniu się początków przedwojennej (wówczas – powojennej) polityki. Znajdowały się jednak i po lewej (PPS), i po prawej stronie (endecja) naszej sceny politycznej. W czasach Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej oficjalna propaganda równouprawnienia przełożyła się na wzrost liczby kobiet w Sejmie (w najlepszych pod tym względem kadencjach do ok. 20%), co oczywiście nie przekładało się na realne prawo głosu. Jeśli jednak skupić się tylko na liczbach, trzeba odnotować, że gdy w Sejmie kontraktowym znalazło się jedynie 13% pań, był to regres, a nie postęp w stosunku do ostatniego Sejmu wybranego w PRL, w 1985 roku. Kobiety były jednak wówczas raczej kwiatkiem do kożucha, tak jak dokooptowana w czasach Jaruzelskiego do KC włókniarka Zofia Grzyb, co ciekawe – równolegle będąca członkinią NSZZ „Solidarność", mająca razem z Albinem Siwakiem symbolizować współudział we władzy środowisk robotniczych we wczesnych latach 80. Więcej do powiedzenia kilka kobiet miało w aparacie represji i propagandzie. Z drugiej strony czasy PRL dawały wiele okazji do działania poza i wbrew systemowi, i tu zaangażowanych w działania strajkowe, pomocowe czy po prostu organizacyjne nie brakowało. Dlatego też opozycja ma do dziś swoje żeńskie legendy, z Anną Walentynowicz na czele, trudno ich natomiast szukać po stronie reżimu komunistycznego (poza światem ówczesnych celebrytek, lecz nie polityki), bez sięgania do takich postaci, jak Helena Wolińska czy Julia Brystygierowa.

Dość dyktatury kobiet

W III RP początkowo reprezentacja kobiet w polityce okazała się równie lub bardziej skromna, choć z drugiej strony te, które do wyższych politycznych sfer zdołały się przebić, odgrywały w nich znaczącą rolę. Hanna Suchocka została pierwszą polską premier (po niej funkcję tę pełniły jeszcze Ewa Kopacz i Beata Szydło), mieliśmy marszałek Sejmu Małgorzatę Kidawę-Błońską, a później Elżbietę Witek, a w polityce lokalnej w atmosferze narastającego skandalu dużą rolę odgrywała Hanna Gronkiewicz-Waltz, przez lata pełniąca funkcję prezenta Warszawy, a wcześniej szefowej NBP i lekko karykaturalnej, ultrakatolickiej kandydatki na prezydenta RP. W łódzkim samorządzie od lat okopana jest Hanna Zdanowska, podobnie jak Gronkiewicz-Waltz reprezentująca Platformę. W polityce parlamentarnej pojawiło się wiele interesujących działaczek, często wykazujących się pracowitością i sporymi kompetencjami, od Pauliny Matysiak do Anny Bryłki. Jednak zbudowanie debaty publicznej wokół politycznego podziału, połączone z naturalną tendencją mediów do pogoni za skandalem lub medialnym (często do końca nieuświadomionym) niepowodzeniem, sprawia, że rejestrujemy dziś raczej obecność w polityce rządowej osób skrajnie niekompetentnych, krzykliwych, emocjonalnych i uprawiających politykę na dość płytkim poziomie. W ten sposób postaciami z pierwszych stron gazet i czołówek serwisów stały się takie osoby, jak Klaudia Jachira, zaczynająca karierę w polityce od nagrywania wierszyków, litanii i przebieranek skupionych niezmienne na postaci Jarosława Kaczyńskiego, czy wiceminister środowiska Urszula Sara Zielińska, której każde wystąpienie medialne skutkuje cytatami, potrafiącymi jeszcze miesiącami się za nią ciągnąć. Jej zwierzchniczka, przywołana już na początku tekstu Paulina Hennig-Kloska, na gruncie zawodowym ma zresztą zbliżone do niej osiągnięcia i trudno uznać ją za medialny talent. Jednak rekord w tej trudnej konkurencji od lat należy do dawnej koleżanki Hennig-Kloski, dziś reprezentującej Lewicę Joanny Scheuring-Wielgus. Polityk, którą zapamiętamy między innymi z oddania psów do schroniska, zasłynęła przed laty skandowaniem na feministycznej demonstracji hasła: „Dość dyktatury kobiet!", ochoczo zresztą przez uczestników podchwyconego, zanim ktoś zorientował się, do jak fatalnej pomyłki doszło. W ostatnich dniach Scheuring-Wielgus w telewizyjnym studiu powiedziała, że wspaniałym finałem sporu Pałacu Prezydenckiego z marszałkiem Sejmu byłoby objęcie funkcji prezydenta przez Włodzimierza Czarzastego. Jak wiemy, warunkiem koniecznym tego wydarzenia musiałoby być jakieś zdarzenie wykluczające Karola Nawrockiego z życia publicznego.

> REJESTRUJEMY OBECNOŚĆ W POLITYCE OSÓB SKRAJNIE NIEKOMPETENTNYCH, KRZYKLIWYCH, EMOCJONALNYCH.

Czy więc obecność kobiet uczyniła politykę spokojniejszą, lepszą i bardziej empatyczną? Niektórych, jak Beaty Szydło i kilku jej koleżanek z PiS, niezależnych Lidii Staroń czy Pauliny Matysiak, na pewno tak. Kilku innych – na pewno nie. Przy czym tyle samo w tym winy zainteresowanych, co promującego pewne postawy układu medialnego i politycznego.

eprasa.pl e8f8128fed

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM")

NIEBEZPIECZNY SAFE

Unijny program SAFE brzmi jak coś, z czym nie sposób polemizować. Kto normalny sprzeciwia się bezpieczeństwu? Już sama nazwa ustawia dyskusję: jesteś za SAFE – jesteś odpowiedzialny. Masz wątpliwości – pewnie nie rozumiesz powagi sytuacji za naszą wschodnią granicą. To klasyczny zabieg polityczny: nadać projektowi nazwę, która moralnie rozbraja krytykę. Tymczasem im bardziej górnolotna etykieta, tym częściej warto zajrzeć pod spód i sprawdzić, jakie mechanizmy naprawdę się tam kryją.

Najpoważniejsze obawy wobec programu SAFE dotyczą suwerenności – i to nie w sensie publicystycznego straszaka, lecz bardzo konkretnej zależności finansowej. Jak podnosi prezydent Karol Nawrocki, mechanizm może sprawić, że kluczowe decyzje dotyczące polskich wydatków obronnych będą w praktyce uzależnione od politycznych ocen zapadających poza granicami kraju. Pytanie jest proste: czy w ramach SAFE naprawdę będziemy mogli swobodnie dysponować środkami, skoro nad wszystkim wisi unijna zasada tzw. warunkowości? Jeśli wypłata pieniędzy może zależeć od oceny „praworządności" czy bieżących relacji politycznych, to trudno mówić o pełnej autonomii w planowaniu strategicznych inwestycji.

Ani konstrukcja programu, ani dotychczasowe doświadczenia nie dają gwarancji, że pieniądze nie staną się instrumentem nacisku. Wystarczy polityczny spór, zmiana nastrojów w Brukseli czy odmienne priorytety – i finansowanie może zostać wstrzymane. A wtedy scenariusz jest groźny: Polska rozpoczyna strategiczne inwestycje zbrojeniowe, podpisuje wieloletnie kontrakty, uruchamia produkcję, angażuje krajowy przemysł, po czym dowiaduje się, że środki zostały zamrożone. Projekty wiszą w próżni, zobowiązania zostają, a pieniędzy brak. Taka sytuacja to nie tylko problem budżetowy – to realne osłabienie bezpieczeństwa państwa, które zostaje z niedokończonymi programami modernizacyjnymi.

Co więcej, horyzont polityczny w Polsce nie jest wieczny. Wszystko wskazuje na to, że obecny rząd w 2027 roku nie będzie już sprawował władzy. A skoro zmieni się ekipa w Warszawie, zmienić się może także klimat relacji z Brukselą. W takiej sytuacji SAFE – zamiast być stabilnym filarem współpracy – może stać się narzędziem presji wobec nowego rządu. Mechanizm finansowy, który dziś wygląda jak wsparcie, jutro może okazać się dźwignią polityczną. W pewnym sensie byłaby to powtórka z rozrywki – wystarczy przypomnieć sobie awanturę o odblokowanie KPO.

I właśnie w tym tkwi sedno obaw: nie w samej idei współpracy europejskiej, lecz w konstrukcji programu, która tworzy asymetrię zależności. Państwo, które finansuje swoje bezpieczeństwo w oparciu o zewnętrzne, warunkowe środki, zawsze będzie narażone na ryzyko ich zablokowania. A bezpieczeństwo nie powinno być przedmiotem politycznego targu. Jeśli ma być wspólne, musi opierać się na jasnych, niezmiennych regułach – nie na uznaniowej decyzji, kto w danym momencie zasługuje na wypłatę środków.



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e8l8128fed

SAFE – zabezpieczyć polskie śmigła

Polskie służby potrzebują śmigłowców, i to **niemało**. Są one fundamentem mobilności sił zbrojnych, ratownictwa, transportu i wsparcia operacyjnego. Potrzebne są zarówno maszyny małe, szkoleniowe, jak i o zdolnościach transportowych. Jeśli Polska skorzysta z unijnego programu SAFE, to absolutnym obowiązkiem rządzących będzie takie wykorzystanie z tych środków, by jak najwięcej kapitału i produkcji ulokować w Polsce.

Konrad Wernicki

Unijny program SAFE (Security Action for Europe) to jedna z najważniejszych inicjatyw obronnych Unii Europejskiej ostatnich lat. SAFE ma pobudzić przemysł zbrojeniowy Europy, która przez dekady zaniedbywała własny potencjał obronny. Nie jest to klasyczny program dotacji unijnych, a mechanizm finansowania długoterminowych pożyczek na wspólne zakupy uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Ich oprocentowanie wynosi około 3,3% rocznie. To relatywnie niski koszt, szczególnie jeśli zestawi się go z rynkowymi warunkami finansowania dużych projektów obronnych, które w normalnych warunkach państwa musiałyby zaciągać samodzielnie na rynku finansowym.

Program promuje wspólne zamówienia realizowane przez co najmniej dwa państwa, ale w okresie przejściowym dopuszcza także zakupy realizowane przez pojedyncze kraje. Warunek jest jeden: zdecydowana większość komponentów musi pochodzić z Unii Europejskiej lub państw z nią stowarzyszonych, co ma ograniczyć zależność od dostawców spoza Europy.

Dla Polski SAFE ma znaczenie szczególne. Nasz kraj może zostać największym udziałowcem programu, zarówno ze względu na skalę potrzeb modernizacyjnych, jak i położenie geopolityczne. Z całej puli około 150 miliardów euro dostępnej w ramach unijnego programu SAFE Polska ma otrzymać aż 43,7 miliarda euro, co stanowi największą indywidualną alokację spośród wszystkich państw członkowskich UE i daje nam



Fot. PZL-Świdnik S.A. (2)

eprasa.pl e8f8128fed

znaczącą przewagę przy finansowaniu dużych zakupów zbrojeniowych i modernizacji sił zbrojnych.

To także szansa, by te środki realnie pracowały na rzecz krajowego przemysłu, a nie jedynie finansowały import gotowych systemów.

Śmigłowce – decyzja, która zaważy na dekady

Jednym z obszarów, w których Polska może sięgnąć po mechanizm SAFE, jest zakup śmigłowców szkolno-bojowych. Potrzeby w tym zakresie są pilne i wielowymiarowe. Nowych maszyn potrzebuje zarówno Wojsko Polskie, jak i Straż Graniczna. Chodzi nie tylko o szkolenie pilotów, lecz także o utrzymanie podstawowych zdolności operacyjnych i ich rozwinięcie.

Na stole leżą dwie zasadnicze opcje. Pierwsza to oferta śmigłowca AW109 z PZL-Świdnik, zakładu z wieloletnią tradycją, należącego do europejskiej grupy Leonardo. Świdnickie zakłady zabezpieczają obecnie około 80% floty śmigłowców dla wojska. Druga to propozycja maszyny H145M od Airbus Helicopters, innego dużego producenta śmigłowców na świecie, silnie osadzonego w strukturach przemysłowych Unii Europejskiej, który jednak nie produkuje tych maszyn w Polsce.

Z punktu widzenia programu SAFE obie oferty mieszczą się w ramach europejskiej polityki obronnej, ale ich konsekwencje dla polskiej gospodarki są różne. Wybór PZL-Świdnik oznaczałby produkcję, serwis i dyspozycyjność zaplecza technicznego w kraju. To także argument społeczny – miejsca pracy, rozwój regionu i utrzymanie kompetencji przemysłowych, które w sektorze zbrojeniowym są trudne do odbudowania, jeśli raz zostaną utracone.



Z kolei Airbus oferuje platformy szkolno-bojowe bardzo popularne w innych krajach UE. To rozwiązanie może być atrakcyjne z punktu widzenia harmonizacji szkolenia i logistyki, ale niesie ryzyko ograniczenia realnego udziału polskiego przemysłu do roli wyłącznie centrum serwisowego.

Solidarność z PZL-Świdnik jest zaniepokojona podejmowaniem prób zakupu śmigłowców produkowanych poza Polską, podczas gdy takie maszyny może zapewnić krajowy zakład.

– Poważne wątpliwości i niepokój wzbudza brak uwzględnienia warunku polonizacji produktu przy prowadzonych procedurach przetargowych. Poszanowanie interesu gospodarczego i obronnego Polski jest w naszej ocenie priorytetem ściśle związanym z bezpieczeństwem narodowym – mówi nam Andrzej Kuchta, przewodniczący Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" WSK PZL-Świdnik.

Z kolei Solidarność w Airbus Poland apeluje, by pieniądze z SAFE – jeśli popłyną do Airbusa – miały realne przełożenie na pracowników w Polsce.

– Chcemy wierzyć, że nie skończy się jedynie na serwisowaniu maszyn produkowanych gdzie indziej, ale że doczekamy się nowych programów produkcyjnych i inwestycji w infrastrukturę, które zakotwiczą nas w strukturach koncernu na kolejne dekady – podkreśla Rafał Chojecki, przewodniczący NSZZ „Solidarność" Airbus Poland.

JEDNYM Z OBSZARÓW, W KTÓRYCH POLSKA MOŻE SIĘGNĄĆ PO MECHANIZM SAFE, JEST ZAKUP ŚMIGŁOWCÓW SZKOLNO-BOJOWYCH.

Polscy pracownicy Airbusa wiedzą, że nawet jeśli nie dostaną kontraktu na śmigłowce, to ich pracodawca zapewne zdobędzie zamówienie na samoloty-tankowce A330 MRTT – bardzo potrzebne do sprawnego operowania naszych F-16 i F-35 – a także na transportowce A400M Atlas, które miałyby zastąpić wysłużone Herculesy, przewyższając je pod względem możliwości operacyjnych. To właśnie w Polsce już teraz produkowane są komponenty do tych samolotów, a gra toczy się o zwiększenie naszego krajowego udziału w globalnych łańcuchu dostaw.

Potencjalnego tortu z SAFE jest bardzo dużo i da się go

eprasa.pl e8f8128fed

rozsądnie podzielić, sprawiając przy tym, by był jak najbardziej biało-czerwony.

Co z Amerykanami?

Często pojawia się teza, że program SAFE blokuje zakup amerykańskiego uzbrojenia. W praktyce nie musi tak być, bo priorytetem programu jest europejska wartość dodana, a nie sama narodowość producenta. Dobrym przykładem mogą być śmigłowce S-70i Black Hawk produkowane w Polsce. Choć to konstrukcja o amerykańskich korzeniach, urządzenia te powstają w zakładach PZL-Mielec, należących do Lockheed Martin, z dużym udziałem europejskich komponentów, a sam proces produkcji wg wyliczeń PZL-Mielec spełnia kryterium 65% wartości europejskiej.

Co więcej, działalność tej fabryki generuje realne korzyści dla polskiej i europejskiej gospodarki. Współpraca z ponad 1200 dostawcami z Polski i UE oraz około 5 tysięcy miejsc pracy w całym łańcuchu dostaw sprawiają, że śmigłowce S-70i są przykładem sprzętu, który przez swoją produkcję wspiera lokalne zdolności przemysłowe.

W przeszłości planowano także większy zakup mieleckich Black Hawków – procedura dotycząca 32 maszyn została jednak zawieszona z powodu zmiany priorytetów kierowanych przez Sztab Generalny RP, i choć nie zakończyła się podpisaniem kontraktu, pokazała, że dyskusje o wyposażeniu Polski w tę klasę maszyn wciąż trwają.

– Nasze Black Hawki świetnie spisują się w polskich służbach specjalnych i policji. Choć mają rodowód amerykański, to spełniają wymogi SAFE i w teorii nic nie stoi na przeszkodzie, by zamówić je w ramach tego programu. A tym bardziej produkowanych w Mielcu samolotów do zwalczania latających bezzałogowców. Mowa o M-28, z którego Ukraińcy zrobili prawdziwego zabójcę dronów. Z powodzeniem moglibyśmy wdrożyć taką wersję maszyn u nas, jako ekonomiczny środek obrony antydronowej – mówi nam Bartłomiej Duszkiewicz, przewodniczący NSZZ „Solidarność” w PZL-Mielec.

Dlatego maszyny z Mielca mogą stać się przykładem nowego paradygmatu: programy zakupowe mogą łączyć partnerstwo transatlantyckie z rozwojem europejskiego i polskiego przemysłu obronnego. Wystarczy dobra wola decydentów.

Europejskie pieniądze, polska strategia

Program SAFE sam w sobie nie daje gwarancji sukcesu polskiego przemysłu, ale jest narzędziem, z którego można skorzystać mądrze albo zmarnować jego potencjał. Przykład systemu antydronowego SAN pokazuje, że możliwe jest pogodzenie europejskiej współpracy z realnym wzmocnieniem krajowych zdolności produkcyjnych. Przed podobnym wyborem stoimy dziś w przypadku śmigłowców polskich służb.

Decyzje podjęte teraz będą miały konsekwencje na dekady. Jeśli nasze pieniądze mają pracować na bezpieczeństwo kraju, powinny jednocześnie pracować na rzecz polskiego przemysłu, pracowników i rozwoju technologicznego. S

SOLIDARNOŚĆ Z PZL-ŚWIDNIK JEST ZANIEPOKOJONA PODEJMOWANIEM PRÓB ZAKUPU ŚMIGŁOWCÓW PRODUKOWANYCH POZA POLSKĄ.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl e8f8128fed

POD PATRONATEM „TS”

Rusza Międzymorze 2.0

Józef Piłsudski, jeden z promotorów idei Międzymorza, mówił, że albo Polska będzie wielka, albo nie będzie jej wcale. Nawiązując do tych słów, można stwierdzić, że albo Europa Środkowa zintegruje się i **obroni się sama**, albo zniknie z mapy świata jako podmiotowy region suwerennych państw. O tym debatowano podczas Warsztatów Strategicznych Międzymorze 2030 zorganizowanych przez Instytut Międzymorza pod patronatem „Tygodnika Solidarność” i portalu Tysol.pl.

Adam Chmielecki



Fot. Marcin Kaproń / Instytut Międzymorza (2)

Przypomnijmy, że idea Międzymorza w latach 20. i 30 XX wieku zakładała współpracę i solidarność państw Europy Środkowej i Wschodniej w obliczu zagrożenia ze strony Związku Sowieckiego. Minął wiek, zginęły miliony ludzi i tak naprawdę niewiele się zmieniło.

Po pierwsze – bezpieczeństwo

Warsztaty Strategiczne Międzymorze 2030 miały formułę zamkniętego spotkania eksperckiego z wykorzystaniem narzędzi analizy strategicznej. Uczestniczyli w nich akademicy, samorządowcy, praktycy gospodarki, dyplomaci, eksperci i publicyści specjalizujący się w tematyce

eprasa.pl e8f8128fed

bezpieczeństwa i relacji międzynarodowych, m.in. prof. Piotr Grochmalski, prof. Andrzej Zybertowicz, społeczny doradca prezydenta RP Jacek Saryusz-Wolski, prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski i przewodniczący Rady Programowej Instytutu Międzymorza dr Józef Orzeł. Analizowano słabe i mocne strony społeczeństw i państw regionu, obecne ograniczenia współpracy regionalnej oraz możliwości powstania funkcjonalnego sojuszu regionalnego, który w nowych (a zarazem bardzo dobrze znanych z przeszłości) realiach zapewniałby bezpieczeństwo, suwerenność i możliwości rozwoju. Oczywiście nikt nie ma złudzeń. To zadanie na lata, a Europa Środkowa w tym procesie może liczyć de facto tylko na jednego światowego gracza – Stany Zjednoczone. USA mogą zapewnić regionowi gwarancje bezpieczeństwa i wsparcie militarne. Podmiotowe Międzymorze to wkład we wzmacnianie relacji transatlantyckich.



Idee dla Europy Środkowej

W warsztatach Instytutu Międzymorza uczestniczył również Maciej Kubicki z Kancelarii Prezydenta RP, prezydencki „szerpa" ds. Inicjatywy Trójmorza zarówno poprzedniej, jak i obecnej głowy państwa. Przedstawił on polską perspektywę pierwszej dekady formatu politycznego zainicjonowanego przez prezydentów Polski i Chorwacji w 2015 roku oraz szanse i zagrożenia w kolejnych latach. Zdefiniowanie relacji między – nomen omen – Międzymorzem a Trójmorzem wydaje się jednym z największych wyzwań dotyczących polskiej obecności w Europie Środkowej. Większość uczestników warsztatów podkreślała, że są to koncepcje nieco odmienne, ale komplementarne i mające ten sam cel – bezpieczeństwo i podmiotowość regionu i jego poszczególnych państw. Międzymorze pozostaje na razie ideą, za którą przemawiają historyczne uwarunkowania i geopolityczne wyzwania – zdaniem wielu wręcz konieczności – nowej ery relacji międzynarodowych. Ma się koncentrować na współpracy w obszarze bezpieczeństwa. Inicjatywa Trójmorza to już konkretny projekt polityczny (m.in. coroczne szczyty z udziałem prezydentów), który ma patronować współpracy gospodarczej i biznesowej, przede wszystkim w obszarze infrastruktury drogowej, kolejowej i energetycznej. Ponadto Trójmorze skupia tylko państwa członkowskie Unii Europejskiej, a idea Międzymorza obejmuje także państwa spoza UE.

Obie koncepcje zakładają rozwój wielowymiarowej współpracy w Europie wzdłuż osi Północ – Południe, zapomnianej nieco przez ostatnie dekady, naznaczone rozwojem sieci powiązań i instytucjonalizacji wzdłuż osi Wschód – Zachód. Czasami miało to bardziej pozytywny wymiar (integracja państw dawnego bloku sowieckiego z Unią Europejską i NATO), czasami zdecydowanie negatywny (dogadywanie się dużych państw otaczających region ponad głowami jego mieszkańców). Jeśli spojrzymy na 13 państw członkowskich Trójmorza, wyraźnie widzimy układ z północy na południe. Podobnie Międzymorze, historycznie skoncentrowane w zwartym bloku w Europie Środkowej, w wersji 2.0 XXI wieku ma wiązać współpracę od państw nordyckich po południe Starego Kontynentu. Stąd m.in. obecność

MIĘDZYMORZE W WERSJI 2.0 MA WIĄZAĆ WSPÓŁPRACĘ OD PAŃSTW NORDYCKICH PO POŁUDNIE STAREGO KONTYNENTU.

eprasa.pl e8f8128fed

wśród ekspertów warsztatów byłych ambasadorów RP na Łotwie (Monika Michaliszyn), Ukrainie (Jan Piekło) i w Wielkiej Brytanii (Arkady Rzegocki).

Wolni z wolnymi

Co jednak najważniejsze, Polska ma wielowymiarowy potencjał (demograficzny, gospodarczy, militarny, położenia geograficznego), aby być jednym z liderów obu tych projektów politycznych. W tym miejscu warto poczynić ważne rozróżnienie. Jak podkreślali eksperci podczas warsztatów, potencjalne polskie przywództwo nie oznacza hegemonii, ponieważ Europa Środkowa, w tym Polska, ma silne tradycje polityczne republikanizmu. Dość powiedzieć, jak podkreślił prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, że do czasu powstania Stanów Zjednoczonych Ameryki to Rzeczpospolita Obojga Narodów (a więc, szukając inspiracji historyczno-cywilizacyjnych, trzon koncepcji Międzymorza) była największą w dziejach świata wspólnotą polityczną wolnych obywateli (narodu nie w sensie etnicznym, a kulturowym i posiadanych praw obywatelskich). To z zewnątrz, zarówno ze Wschodu, jak i Zachodu, przychodziły do regionu praktyki hegemoniczne i totalitarne.

> PODMIOTOWE MIĘDZYMORZE TO WKŁAD WE WZMACNIANIE RELACJI TRANSATLANTYCKICH.

Sięgając do bliższych nam czasów, wspólnym doświadczeniem historycznym, ale też politycznym, a nawet cywilizacyjnym, narodów Europy Środkowej i Wschodniej jest opór społeczny przeciwko narzuconemu siłą komunizmowi po II wojnie światowej. Opór zakończony powstaniem i zwycięstwem Solidarności. To historia wciąż żywa, obecna w pamięci zbiorowej w regionie. A jej bohaterów i świadków wciąż można spotkać na ulicach Gdańska, Warszawy, Wilna, Pragi, Bratysławy, Budapesztu i innych miast. W ramach wspólnej pamięci, która może inspirować do rozwiązań w nowej erze, warto przypomnieć m.in. „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej" podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność".

To dopiero początek

– Przez trzy bardzo intensywne dni w Krakowie zebraliśmy grono najlepszych ekspertów reprezentujących różnorodność perspektyw. Warsztaty miały jeden zasadniczy cel: zdiagnozować, co realnie wzmacnia, a co osłabia naszą wspólną odporność w Europie Środkowo-Wschodniej, i wytyczyć praktyczne kroki do budowy trwałego sojuszu państw regionu. W obliczu trwającej agresji rosyjskiej i zmieniającego się układu sił geopolitycznych odrodzenie idei Międzymorza nie jest już tylko historycznym odniesieniem, lecz strategiczną koniecznością. Bez silnej, skoordynowanej współpracy – wspartej strategicznym partnerstwem ze Stanami Zjednoczonymi – trudno będzie skutecznie chronić suwerenność i bezpieczeństwo naszych narodów. W tym też celu w roku 2023 założyliśmy Instytut Międzymorza. Cykl „Międzymorze 2030" będzie kontynuowany – podsumowuje warsztaty prezes Instytutu Międzymorza Aleksandra Jankowska.

Współpraca w ramach Międzymorza dotyczy suwerennych państw, ale ma także swój ważny wymiar regionalny. Stąd dodatkowy motyw warsztatów: samorządowa współpraca dla budowy i rozwoju odporności państw regionu. Partnerem przedsięwzięcia było Województwo Małopolskie, a marszałek województwa Łukasz Smółka objął je patronatem honorowym.

To kolejne przedsięwzięcie Instytutu Międzymorza promujące współpracę polityczną, gospodarczą i biznesową w Europie Środkowej. Wcześniej m.in. we współpracy z Fundacją Promocji Solidarności Instytut zorganizował w historycznej Sali BHP debatę „Geopolityka Trójmorza w erze nowych wyzwań i sztucznej inteligencji". S

> POLSKA MA WIELOWYMIAROWY POTENCJAŁ (DEMOGRAFICZNY, GOSPODARCZY, MILITARNY, POŁOŻENIA GEOGRAFICZNEGO), ABY BYĆ JEDNYM Z LIDERÓW TRÓJMORZA I MIĘDZYMORZA.

eprasa.pl e8f8128fed

Polska buduje potęgę wiatrową.

Strategiczna szansa dla przemysłu i pracowników

Rozwój energetyki wiatrowej przekłada się na korzyści finansowe dla polskich firm i pracowników. Z wyliczeń Baker Tilly TPA wynika, że większy udział energetyki wiatrowej w krajowym miksie może obniżyć cenę energii elektrycznej nawet o 250 zł za MWh do 2040 roku. Jednocześnie scenariusz przyspieszonego rozwoju energetyki wiatrowej to nawet 548 mld zł dodatkowych inwestycji w infrastrukturę, przemysł i nowe technologie. To kapitał, który może pracować w Polsce, wzmacniając krajowe firmy i tworząc stabilne miejsca pracy.

Fot. Adobe Stock

Rozwój energetyki wiatrowej na lądzie i morzu to nie tylko element transformacji energetycznej, lecz także realna szansa rozwojowa dla polskiego przemysłu ciężkiego oraz pracowników sektora górniczego. W obliczu zmian strukturalnych w energetyce inwestycje w wiatr mogą stać się naturalnym kierunkiem wykorzystania kompetencji technicznych budowanych przez dekady w górnictwie i energetyce konwencjonalnej.

Transformacja polskiej elektroenergetyki w horyzoncie 2040 roku ma fundamentalne znaczenie dla długoterminowej konkurencyjności gospodarki oraz bezpieczeństwa systemowego państwa. Od skali inwestycji w sektorze elektroenergetycznym będą zależeć koszty funkcjonowania całej gospodarki – od przemysłu energochłonnego, przez sektor usług, po gospodarstwa domowe.

Wzrost gospodarczy i niskie ceny

Wzrost udziału energetyki wiatrowej w krajowym miksie energetycznym przełoży się na wyraźną presję spadkową na hurtowe ceny energii. Szacunki Baker Tilly TPA wskazują, że w 2040 r. różnica może sięgać nawet 250 zł/MWh względem scenariuszy z mniejszym udziałem OZE. Oznacza to nie tylko niższe rachunki dla odbiorców końcowych, w tym gospodarstw domowych, lecz także większą przewidywalność i stabilność cen w długim horyzoncie.

Jednocześnie scenariusz przyspieszonego rozwoju energetyki wiatrowej oznacza silny impuls inwestycyjny. Skala dodatkowych nakładów na infrastrukturę sieciową, przemysł, łańcuchy dostaw i nowe technologie może sięgnąć nawet 548 mld zł. To kapitał, który może pobudzić rozwój regionalny, zwiększyć udział nowoczesnych sektorów w PKB oraz przyspieszyć transformację w kierunku gospodarki niskoemisyjnej i innowacyjnej.

> Znaczenie energetyki wiatrowej **wykracza** poza same elektrownie.

Lądowa energetyka wiatrowa, jako jedno z najtańszych dostępnych źródeł energii, stanowi dodatkowy impuls inwestycyjny. Szacuje się, że skala nakładów w tym obszarze może sięgnąć 214 mld zł, z czego nawet 60 procent wartości może pozostać w kraju. Oznacza to realną szansę na reindustrializację regionów przemysłowych oraz utrzymanie wysokiej jakości miejsc pracy.

Równie kluczowa staje się morska energetyka wiatrowa uznawana za jeden z największych projektów industrialnych w historii kraju. Pełne wykorzystanie potencjału Bałtyku, szacowanego na 33 GW, może oznaczać inwestycje o łącznej wartości nawet 900 mld zł. Skala tego przedsięwzięcia otwiera szerokie możliwości dla przedsiębiorstw związanych dotąd z sektorem wydobywczym, hutniczym, stoczniowym czy energetycznym.

Już dziś polskie firmy uczestniczą w produkcji wież i konstrukcji stalowych, rozwoju portów instalacyjnych i serwisowych, a także w realizacji usług inżynieryjnych i logistycznych. Szacuje się, że udział krajowych podmiotów w łańcuchu dostaw offshore może przekroczyć 40 procent, co oznacza realne włączenie polskiego przemysłu w strategiczny segment europejskiego rynku energii.

Znaczenie energetyki wiatrowej wykracza poza same elektrownie. Polska umacnia swoją pozycję jako europejski hub produkcyjny komponentów, w tym łopat i wież turbin. Rozwój produkcji generuje zapotrzebowanie na stal, cement oraz zaawansowane konstrukcje przemysłowe, wzmacniając krajowy przemysł ciężki i tworząc nowe możliwości dla firm współpracujących dotąd z górnictwem.

Powstają nowe zawody

Te inwestycje – a nie będą one jedyne w tym obszarze – pokazują, że energetyka wiatrowa już dzisiaj wykazuje zapotrzebowanie na zawody, które w Polsce nie istniały wcześniej w takiej skali. Potrzebni będą specjaliści do budowy statków instalacyjnych, serwisowych oraz inżynierowie i pracownicy budowlani specjalizujący się

eprasa.pl e8f8128fed



w konstrukcjach stalowych – chodzi o budowę i serwis wież, fundamentów pod gigantyczne turbiny oraz trafostacji.

Na pniu pracę w branży znajdą specjaliści od przyłączeń do sieci przesyłowych oraz budowy infrastruktury energetycznej. Kluczowym zawodem już dziś jest serwisowanie turbin wiatrowych. To – nawiasem mówiąc – jedna z najszybciej rosnących grup zawodowych w Polsce, ale również wymagająca, bo oprócz uprawnień wysokościowych serwisanci muszą się wykazać wiedzą z zakresu mechaniki oraz mechatroniki.

Wpływ na rynek pracy wykracza jednak poza same elektrownie. Polska staje się europejskim hubem produkcyjnym komponentów – chodzi o produkcję łopat i wież. Pracujące pełną parą fabryki np. w Goleniowie i Szczecinie zatrudniają tysiące pracowników produkcyjnych, laminatorów i kontrolerów jakości. Rozwój energetyki wiatrowej nie pozostaje bez znaczenia także dla przemysłu cementowego i stalowego w związku z rosnącym zapotrzebowaniem na konstrukcje nowego w naszej gospodarce typu.

Jak wypełnić lukę

Eksperci wskazują, że pojawiająca się na rynku pracy luka kompetencyjna może być skutecznie wypełniona dzięki przekwalifikowaniu pracowników sektora górniczego i energetyki węglowej. Doświadczenie zdobyte w kopalniach – obejmujące pracę w wymagających warunkach technicznych, utrzymanie ruchu, znajomość zasad bezpieczeństwa oraz obsługę zaawansowanych instalacji – jest wysoko cenione w sektorze energetyki wiatrowej, zwłaszcza w obszarze serwisu turbin.

Kluczowym zawodem **już dziś** jest serwisowanie turbin wiatrowych.

Firmy z branży wiatrowej coraz wyraźniej kierują swoją ofertę do środowisk górniczych. Przykładem jest inicjatywa „Wiatr – kopalnia możliwości”, czyli program szkoleń dedykowany górnikom, którzy chcą zmienić miejsce zatrudnienia i rozpocząć pracę przy serwisowaniu turbin wiatrowych. Program ten pokazuje, że transformacja energetyczna może mieć wymiar praktyczny i realnie wspierać pracowników w zdobywaniu nowych kwalifikacji. EDF Renewables zorganizował już kilka edycji kursów skierowanych do pracowników polskiego sektora wydobywczego zainteresowanych przejściem do branży odnawialnych źródeł energii. Szkolenia obejmują zarówno przygotowanie techniczne, jak i certyfikację niezbędną do pracy na wysokości oraz przy instalacjach wiatrowych. To konkretne działania potwierdzające, że sektor wiatrowy postrzega górników jako wartościowych i perspektywicznych specjalistów, którzy mogą z powodzeniem odnaleźć się w nowym segmencie gospodarki.

Energetyka wiatrowa może się okazać nie tylko rewolucją w energetyce, ale naturalnym procesem ewolucyjnym w polskiej gospodarce, prowadzącym do powstania i umocnienia nowych zawodów oraz zagospodarowania wszystkich pracowników branż, które z konieczności będą znikać z krajobrazu rynku pracy.

PSEW
SPRAWIEDLIWA TRANSFORMACJA
Fundacja Promocji Solidarności

Projekt realizowany przez Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej z Fundacją Promocji Solidarności

eprasa.pl e8f8128fed

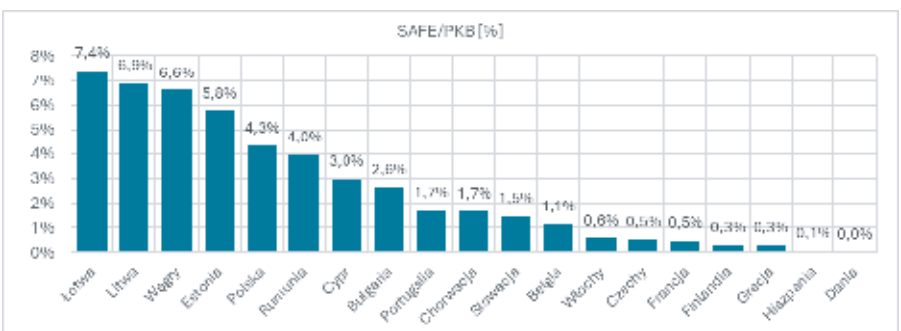
Finansowanie z UE destabilizuje budżety państw

Zbigniew Krysiak

Kredyt SAFE (ang. Security Action for Europe) jest oddzielnym od podstawowego budżetu UE źródłem finansowania systemu obrony militarnej UE, lecz faktycznie zwiększyłby dodatkowo dług Polski o około 4,3% w stosunku do PKB. Trzeba podkreślić, że 8 najbogatszych państw w UE, w tym Niemcy, nie zamierzają finansować obrony militarnej UE z programu SAFE, co oznacza, że głównie biedne kraje z Europy Środkowo-Wschodniej (EŚW) są zmuszane do obrony Niemców. Na **rysunku 1.** przedstawiono stosunek kwoty kredytu z funduszu SAFE do PKB według państw, które prawdopodobnie będą próbowały sięgać po te kredyty, co oczywiście byłoby błędem ze względu na przyszłe ryzyko. Obciążenie budżetów państw tym kredytem nie jest pomijalne, a wręcz tworzy wysokie ryzyko niewydolności fiskalnej. Kredyt taki, jak wynika z **rysunku 1.**, zwiększyłby dług do PKB – w zależności od państwa – od ok. 0,5% do nawet 7,4%, co oczywiście w wielu wypadkach będzie prowadziło do przekroczenia ostrożnościowego limitu deficytu budżetowego powyżej 3%.

Brak angażowania się 8 najbogatszych państw, na czele z Niemcami, byłby nie tylko jawnym odejściem od solidarności i niszczeniem idei wspólnoty europejskiej, ale przede wszystkim przemocą kapitałową wobec państw EŚW poprzez nakładanie na nie swego rodzaju podatku wojennego dla obrony całej UE. Suma planowanych transferów

Rysunek 1. Stosunek kwoty kredytu z funduszu SAFE do PKB według państw



Źródło: Opracowanie własne.

finansowych z Polski do przyszłego budżetu na lata 2028–2034 i kredyt SAFE spowodowałyby, że dług polski w stosunku do PKB w najbliższej perspektywie wzrósłby o około 14%. Przy planowanym długu do PKB (D/PKB) na poziomie 65% na koniec 2026 r. zwiększenie go o 14% prowadziłoby w najbliższych latach do D/PKB na poziomie 79%. W czasie rządów PiS w Polsce D/PKB był poniżej 50%, a od początku rządów premiera Donalda Tuska silnie poszybował w górę i w 2024 r. wyniósł 55,3%, w 2025 r. zbliżył się do 59%, w 2026 r. zaś osiągnie nawet 70%.

W opublikowanym 12 lutego 2025 r. dokumencie Debt Sustainability Monitor 2025 Komisja Europejska (KE) prognozuje, że relacja D/PKB dla Polski może osiągnąć w 2036 r. poziom około 107%. KE ostrzega Polskę, że bez pilnych i głębokich reform fiskalnych grozi nam scenariusz podobny do tego, który dotknął Grecję w latach 2009–2012,

eprasa.pl e8f8128fed

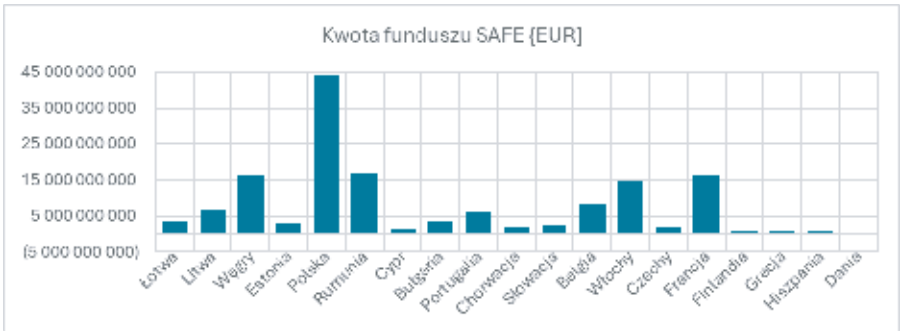
kiedy utrata zaufania inwestorów doprowadziła do gospodarczej katastrofy. Raport KE w przedmiotowej sprawie wskazuje na jakieś paradoksalne i niewiarygodne działanie KE przez narzucania Polsce i innym państwom kolejnych kredytów, a także planowanymi rosnącymi obciążeniami w przyszłym budżecie UE na lata 2028–2034, które mogą osiągnąć poziom ok. 1,5% Dochodu Narodowego Brutto, co oczywiście będzie zwiększać D/PKB i deficyt budżetowy. Dlaczego KE kierowana przez Niemkę Ursulę von der Leyen narzuca Polsce i innym państwom EŚW niekorzystny finansowo kredyt SAFE, posiadając jednocześnie prognozy, że to może doprowadzić do kryzysu fiskalnego w Polsce, tym samym wywołując kryzys w całej UE.

Można z tego wyciągnąć tylko jedyny wniosek, że Niemcy, sterując KE, chcą chyba rzeczywiście „zagłodzić" Polskę przez nałożenie w przyszłości surowych restrykcji na nasz budżet, ale wcześniej chcą doprowadzić do tak dużych obciążeń kredytami, aby wywołać kryzys fiskalny. W efekcie końcowym Niemcy przejmowałyby polskie aktywa, tak jak to było w przypadku Grecji, pod pozorem uzdrawiania polskich finansów, lecz faktycznie uzyskaliby potężną kontrolę nad polską gospodarką. Z tego płynie jedyny wniosek, że nie wolno zgadzać się na żadne kredyty i zwiększone składki do przyszłego budżetu UE, aby nie doszło do katastrofy gospodarczej Polski, a co gorsza – do przejęcia nad nią pełnej kontroli przez Niemcy. O potencjalnym przyszłym kryzysie fiskalnym w Polsce mówi już obecnie KE, więc tym bardziej dziwi, dlaczego KE forsuje zwiększanie obciążeń dla Polski kredytem SAFE i zwiększaniem kontrybucji do przyszłego budżetu UE na lata 2028–2034. Na tym sprawa się jednak nie kończy, bo KE forsuje zaciągnięcie przez Polskę kolejnego kredytu poprzez utworzenie instrumentu East Invest, który ma niby pomóc państwom ze Wschodu w dostępie do wsparcia kredytowego i doradczego. Chodzi o stworzenie platformy inwestycyjnej z udziałem Europejskiego Banku Inwestycyjnego (EBI), a także kilku krajowych i regionalnych banków prorozwojowych. Wsparcie kredytowe ma wynieść 28 mld euro. W planie tym uwzględniono dziewięć państw członkowskich. Poza Polską są to: Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Słowacja, Węgry, Rumunia i Bułgaria.

Poważne ryzyko kryzysu fiskalnego stwarza nowy fundusz SAFE o wartości 150 mld EUR, który ma tworzyć bezpieczeństwo militarne dla całej Europy, ale niestety jego kosztami w zdecydowanej większości mają być obciążone państwa EŚW. Na **rysunku 2.** przedstawiono planowaną alokację kredytów z funduszu SAFE do poszczególnych państw.

Przedstawiona sytuacja jest ostrzeżeniem przed kryzysem fiskalnym w UE, a jednocześnie powinna ona budzić sprzeciw wobec faktu, że najbogatsze państwa w UE, takie jak Niemcy, Holandia, Luksemburg, Austria, Szwecja, nie mają wkładu finansowego w bezpieczeństwo militarne UE, a Hiszpania, Dania i Finlandia zaciągają bardzo symboliczne kredyty, co w efekcie ich także nie obciąża. W tym wypadku kluczem do proporcjonalnego wkładu finansowego powinna być wartość PKB, skoro dotyczy to bezpieczeństwa wszystkich obywateli UE. Gdyby przyjąć taki klucz do finansowania SAFE, przy założeniu, że Polska zaciągnie kwotę kredytu ok. 44 mld EUR, to Niemcy powinny zaciągnąć kredyt SAFE o wartości ok. 250 mld EUR. Mamy więc do czynienia nie tylko z brakiem solidarności, lecz wręcz z nieuczciwą grą i wykorzystywaniem biednych przez bogatych. Skutki SAFE będą obciążały budżety biednych państw, co może doprowadzić do ich niewydolności i w końcu do kryzysu fiskalnego w UE.

Rysunek 2. Planowana alokacja kredytów z funduszu SAFE do poszczególnych państw



Źródło: <https://defence24.com/geopolitics/eu-splits-eur150bn-safe-fund>.

Artykuł pochodzi z „Magazynu Optyka Schumana".

eprasa.pl e8f8128fed

Umowa

Z MERCOSUR

budzi obawy pracowników po obu stronach Atlantyku

Umowa handlowa między państwami bloku Mercosur i Unią Europejską wzbudziła **liczne kontrowersje**. Jak się okazuje nie tylko u nas. Także związki zawodowe z Ameryki Południowej nie są zachwycone.

Mateusz Szymański



Rys. Adobe Stock

eprasa.pl e8f8128fed

Poza NSZZ „Solidarność” wiele innych związków zawodowych ma poważne zastrzeżenia do tej umowy. Europejska Konfederacja Związków Zawodowych (EKZZ) w swojej reakcji na umowę wyraziła obawy o warunki pracy w krajach bloku państw Ameryki Południowej. Komentując zawarcie umowy, odpowiedzialny za sprawy handlu członek władz EKZZ Claes-Mikael Ståhl stwierdził, że „jeśli zobowiązania wobec świata pracy nie zostaną wzmocnione lub jeśli nie zostaną wprowadzone mechanizmy ochronne i środki wspomagające, umowa grozi zaostrzeniem dumpingu socjalnego, pogłębieniem nierówności i podważeniem zaufania społeczeństwa do polityki handlowej”.

Zdecydowanie krytycznie o umowie wypowiadała się Europejska Federacja Związków Zawodowych w Sektorach Żywności, Rolnictwa i Turystyki oraz Branżach Pokrewnych (EFFAT). Ta federacja związkowa, której przedstawiciele protestowali przed siedzibą Komisji Europejskiej przeciwko zawarciu umowy, w swoim oświadczeniu po jej podpisaniu wezwała państwa członkowskie, Komisję Europejską i Parlament Europejski do odrzucenia umowy. Sekretarz generalny EFFAT Enrico Somaglia argumentował, że „umowa z Mercosur naraża pracowników, pozostawia rolnictwo bez ochrony i sprawia, że prawa pracownicze będą niemożliwe do wyegzekwowania, podczas gdy Komisja oferuje niewiele więcej niż reorganizację istniejących funduszy UE, aby uspokoić rolników przed spodziewanymi wstrząsami [...]”.

ZDECYDOWANIE KRYTYCZNIE O UMOWIE WYPOWIADAŁA SIĘ EUROPEJSKA FEDERACJA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W SEKTORACH ŻYWNOŚCI, ROLNICTWA I TURYSTYKI ORAZ BRANŻACH POKREWNYCH (EFFAT).

Także liczna grupa organizacji krajowych jasno sprzeciwiała się umowie. Wątpliwości w sprawie zapisów umowy i słabości mechanizmów zabezpieczających pracowników płynęły m.in. z Hiszpanii, Francji, Włoch, a nawet z centrali Niemieckiej Konfederacji Związków Zawodowych (DGB), która podnosiła, że umowa wymaga skutecznego egzekwowania norm społecznych i środowiskowych.

Mogłoby się wydawać, że więcej zadowolenia będą wyrażali związkowcy z Ameryki Południowej. W końcu to właśnie tam zapowiadany jest boom inwestycyjny w związku z zawarciem umowy. Okazuje się jednak, że nie. I to nie od dziś.

Już w 2018 roku argentyńskie centrale związkowe ostrzegały przed negatywnym wpływem tej umowy na własną produkcję krajową. W publikowanych wystąpieniach przestrzegały przed osłabieniem strategicznych gałęzi gospodarki. Organizacje z Argentyny domagały się dialogu na temat oceny skutków podpisania umowy handlowej UE – Mercosur.

Również w tamtym czasie Grupa Koordynacyjna Organizacji Związkowych Regionu Południowego Ameryki Łacińskiej (CCSCS) wspólnie z Europejską Konfederacją Związków Zawodowych przekazały „List do negocjatorów umowy UE – Mercosur”, w którym jasno przedstawiono powody, dla których umowa nie zostanie zaakceptowana. Zdaniem autorów umowa miała „szkodzić krajom słabiej rozwiniętym po obu stronach Atlantyku w zakresie ich przemysłu i godnej pracy”.

UMOWA UE – MERCOSUR POGŁĘBI DEINDUSTRIALIZACJĘ, ZWIĘKSZY BEZROBOCIE I NIEPEWNOŚĆ ZATRUDNIENIA, WZMOCNI WIELKIE KORPORACJE KOSZTEM PRACOWNIKÓW.

W kolejnych latach niewiele się zmieniło. W 2023 roku, gdy zanosiło się, że porozumienie

eprasa.pl e8f8128fed

zostanie osiągnięte, argentyńska Powszechna Konfederacja Pracy opublikowała oświadczenie, w którym wyraziła „odrzucenie porozumienia między Unią Europejską a Mercosur" i starała się „ostrzegać" przed „konsekwencjami, jakie będzie ono miało dla argentyńskich pracowników". Również Konfederacja Związków Zawodowych Republiki Argentyńskiej wysłała list do ówczesnego prezydenta Alberta Fernándeza, ostrzegając przed „niezwykle negatywnym wpływem", jaki umowa ta będzie miała na przemysł. Związkowcy przestrzegali, że umowa doprowadzi do konfliktu społecznego.

Koresponduje to z wnioskami przedstawionymi w biuletynie opublikowanym przez Konfederację Związków Zawodowych Pracowników Ameryk CSA-CSI w 2023 roku. Opisano tam wiele konkretnych obaw, które nie powinny być ignorowane przez odpowiedzialnych decydentów. Związki zawodowe regionu obawiały się, że umowa UE – Mercosur pogłębi deindustrializację, zwiększy bezrobocie i niepewność zatrudnienia, wzmocni wielkie korporacje kosztem pracowników, osłabi rolę państwa w ochronie interesu publicznego, zwiększy nierówności społeczne, a także ograniczy dostęp do leków i usług publicznych.

JUŻ W 2018 ROKU ARGENTYŃSKIE CENTRALE ZWIĄZKOWE OSTRZEGAŁY PRZED NEGATYWNYM WPŁYWEM TEJ UMOWY NA WŁASNĄ PRODUKCJĘ KRAJOWĄ. W PUBLIKOWANYCH WYSTĄPIENIACH PRZESTRZEGAŁY PRZED OSŁABIENIEM STRATEGICZNYCH GAŁĘZI GOSPODARKI.

Kolejne przecieki, bo na tym bazowała opinia publiczna, dotyczące negocjacji i treści umowy nie uspokajały świata pracy. Dlatego w listopadzie 2024 roku EKZZ wspólnie z CCSCS opublikowały oświadczenie, gdzie już w pierwszych słowach powtórzyły swój sprzeciw wobec umowy w jej znanej wtedy formie. Argumenty, które przedstawili związkowcy, zasadzały się na „nieprzejrzystości" poszczególnych rund negocjacji, a także „braku mechanizmów służących ochronie praw pracowników, ich miejsc pracy, dywersyfikacji produkcji i zrównoważonego rozwoju".

Związkowcy z krajów Mercosur analizują już treść umowy. Instytut Badań i Szkoleń (IEF) działający przy Autonomicznym Centralnym Związku Zawodowym Pracowników w Argentynie przedstawił już swoje wnioski. Nie są optymistyczne dla Ameryki Południowej. Umowa ma doprowadzić do „demontażu zdolności państwa do interwencji". Ponadto znoszone cła mają prowadzić do nierównowagi sił. Z Mercosur do UE mają płynąć towary podstawowe, bez dużego wkładu technologicznego. W drugą stronę zaś – produkty o wysokiej wartości dodanej. Spodziewana jest „agonia" przemysłu, który nie będzie w stanie konkurować z europejskimi producentami. Ponadto eliminuje się w porozumieniu mechanizmy mające promować przedsiębiorstwa lokalne w zamówieniach publicznych.

Okazuje się zatem, że po obu stronach Atlantyku podnoszone są obawy pracowników. Pytanie zatem, komu tak naprawdę służy umowa z Mercosur?

WNIOSKI NIE SĄ OPTYMISTYCZNE DLA AMERYKI POŁUDNIOWEJ. UMOWA MA DOPROWADZIĆ DO „DEMONTAŻU ZDOLNOŚCI PAŃSTWA DO INTERWENCJI". PONADTO ZNOSZONE CŁA MAJĄ PROWADZIĆ DO NIERÓWNOWAGI SIŁ.

***

W artykule zostały zaprezentowane prywatne poglądy autora.

eprasa.pl e8f8128fed



Piotr Skwieciński

Narodowy Dzień Walki z Hołownią

To, co ostatnio dzieje się wokół Szymona Hołowni (tu zwyczajowy disclaimer – nie jest to bohater mojej bajki, choć pewnie akurat mnie nikt by o mięte do byłego marszałka Sejmu nie posądził), mówi wiele o rzeczywistym kształcie dominującego w mediach polskiego libleftu. O jego naturze i o jego motywacjach.

Przy czym nie chodzi tu wyłącznie, ani nawet głównie, o to, że Światowy Dzień Walki z Depresją przyjął w Polsce oblicze Narodowego Dnia Walki z Hołownią. Publiczny donos na tego (powtórzmy: nielubianego przeze mnie) polityka to oczywiście łajdactwo. Ale czy – spytam jako ktoś bardzo staromodny, dla kogo świat nie zaczyna się od nowa codziennie o ósmej rano – rzeczywiście jakoś jakościowo odmienny od np. takiego „pełnego troski" ujawnienia w czasie kampanii prezydenckiej 2015 roku faktu, że żona ówczesnego kandydata Andrzeja Dudy ma żydowskie korzenie? Ja osobiście nie dostrzegam tu jakościowego przełomu. A i jednego, i drugiego dokonali ówcześni i obecni koryfeusze tego samego obozu, więc nihil novi sub sole.

Istnieje jednak ważna okoliczność, która nie pozwala mi postawić w tym miejscu kropki. Taka mianowicie, że Narodowy Dzień Walki z Hołownią nie był odosobnionym ekscesem. Były marszałek (jeszcze raz, do znudzenia: polityk, którego do niedawna – łagodnie mówiąc – nie ceniłem) był bowiem od kilku miesięcy obiektem organizowanej kampanii nienawiści. Kampanii prowadzonej – jak już napisałem – przez czołowe media liberalno-lewicowe. Wykraczającej zdecydowanie poza ramy doraźnej polityki. Bo wyraźnie nie chodziło w niej tylko o przejęcie bądź nie Polski 2050 przez opcję bardziej lub mniej dyspozycyjną wobec Donalda Tuska, tylko o coś więcej. O zniszczenie Hołowni, przy czym nawet już wychodzącego z polityki.

Jest oczywiste, dlaczego ubóstwiany przez te same środowiska (pamiętają Państwo festiwale zachwytu z roku 2024 nad sposobem, w jaki marszałek prowadził obrady i złośliwie „obcinał" pisowców?) ledwie niespełna dwa lata temu Hołownia stał się nagle wrogiem publicznym numer jeden. Idzie oczywiście o to, że latem 2025 r. cofnął się i odmówił uczestnictwa w działaniach mających, czy to unieważnić wyniki całych wyborów prezydenckich, czy to ograniczyć ich praktyczne skutki poprzez tymczasowe przejęcie przez marszałka władzy prezydenckiej i podpisanie ustaw „zerujących" horrendalną dla elit IIIRP epokę rządów PiS. Nie zrobił tego, co więcej – w kontekście tych planów i kierowanych doń propozycji użył publicznie zwrotu: „zamach stanu", dopuścił do prezydentury Nawrockiego, zasłużył więc na zemstę oraz śmierć cywilną.

I to jest oczywiście obrzydliwe, linczujący Hołownię cyngle i ochotnicy zasługują oczywiście na wzgardę. Tylko że...

Tylko że zadam nieśmiało pytanie: czy my, po drugiej stronie, jesteśmy naprawdę tak zasadniczo inni?

Bo gdyby sytuacja była odwrotna? Gdyby to nasz obóz wygrał wybory parlamentarne, stworzył rząd i miał nadzieję, że uda się też wygrać prezydenturę i zacementować naszą władzę (przecież – uważalibyśmy – jedyną mogącą uratować Polskę), ale by się to nie udało? Czy wtedy po naszej stronie wielu uwierzyłoby (a inni udawaliby, że uwierzyli) w pogłoski o sfałszowaniu wyborów? I czy gdyby jakiś nasz polityk, kierując się staromodnym legalizmem, uniemożliwiłby próbę, jak to nazwać... wyborczej dogrywki, to nie zostałby uznany za zdrajcę? I czy wtedy spora część „naszych" nie próbowałaby się na nim zemścić?

Mógłbym w tym miejscu napisać, że chciałbym wierzyć, że nie. Ale tak nie napiszę. Bo choć może i chciałbym, to nie wierzę.

eprasa.pl e8f8128fed

FEMIKLASISTKI kontra „KOBIETY Z LUDU”



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl e8f8128fed

Czy współczesny feminizm rzeczywiście broni wszystkich kobiet, czy tylko tych, które spełniają określone kryteria klasowe? Reakcja na obecność Marty Nawrockiej w Pałacu Prezydenckim każe podejrzewać, że w ruchu kobiecym pojawiła się **nowa odmiana wykluczenia**.

Ludwik Pęzioł

Gdyby porównać sposób, w jaki środowiska postępowe traktowały żeńską część rodziny poprzedniego i obecnego prezydenta, różnica rzuca się w oczy niemal natychmiast. Zarówno w Agacie Kornhauser-Dudzie, jak i w prezydenckiej córce Kindze upatrywano raczej kobiet, które warto próbować przeciągnąć na stronę feministycznej agendy aniżeli kogoś, kogo należy bezwzględnie zwalczać. Wystarczy wspomnieć kilka inicjatyw. Już w 2016 roku uczestniczki Czarnego Protestu szły na demonstracjach z hasłem: „Agato, powiedz coś".

Pierwsza dama ze „skazą"

Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja kobiet z rodziny Karola Nawrockiego. Począwszy od jego młodziutkiej córki, przez żonę, aż po teściową – wszystkie stawały się natychmiast obiektem drwin i szyderstw salonu i środowisk do niego aspirujących. Sam ich widok w mediach wywoływał w części „postępowych" kręgów (również tych deklaratywnie prokobiecych) reakcje, które trudno nazwać inaczej niż odtrącającym zezwierzęceniem i odrzuceniem wszelkich norm kultury. Nie było żadnych apeli, listów otwartych, subtelnych sugestii czy prób nawiązania kontaktu. Od początku kobiety te, a zwłaszcza Marta Nawrocka, przedstawiane były jako osoby „obciachowe", a przez to niegodne przebywania w Pałacu Prezydenckim; patrzono na nie z nieskrywaną protekcjonalnością i pogardą. Co istotne, nie dawały ku temu żadnego realnego powodu. Ich wizerunek nie był obciążony skandalem czy kompromitacją, styl zaś nie podpadał wyraźnie pod żaden paragraf „modowej inkwizycji". Mimo to zostały niejako z góry uznane za „niepasujące", jakby posiadały jakąś niezbywalną i oczywistą dla salonu „skazę". Oczywiście część tej różnicy można tłumaczyć przegadaną już „brutalizacją języka polityki". Jednak gdy przyjrzymy się bliżej słownikowi używanemu wobec pierwszej damy oraz kontekstowi tych ocen, widać, że niechęć nie brała się jedynie z różnic politycznych. Chodziło o coś bardziej pierwotnego... o pochodzenie klasowe.

> MARTA NAWROCKA NIE JEST DLA SALONU PARTNERKĄ DO DIALOGU ANI NAWET PRZECIWNICZKĄ W SPORZE – LECZ KIMŚ SPOZA ŚWIATA, Z KTÓRYM SIĘ ROZMAWIA.

Niedługo później posłanki Nowoczesnej kierowały do ówczesnej pierwszej damy listy z prośbą o wsparcie postulatów proaborcyjnych; podobne apele formułowały feministyczne celebrytki, jak choćby Paulina Młynarska. Nie obyło się też bez zachęcania prezydentowej do poparcia dostępności tzw. pigułki dzień po. Z kolei „Gazeta Wyborcza" sugerowała (podżegała), by prezydentowa przestała odgrywać już rolę „papotki" przy mężu. Podobnie zresztą czyniono później z prezydencką córką. Jak widać, próby „przekabacenia" były długotrwałe i konsekwentne. Agatę Kornhauser-Dudę i Kingę Dudę traktowano więc podmiotowo i chciano rozmawiać z nimi z poziomu partnerskiego, mimo że należały do rodziny prawicowego polityka.

Agata Kornhauser-Duda, choć „nie-nasza" światopoglądowo, wywodziła się z krakowskiej inteligencji; jej środowisko rodzinne lokowało ją w kręgu kulturowo rozpoznawalnym i akceptowalnym dla liberalnych elit. Kapitał „rodowodu" działał jak swoisty bufor ochronny: pozwalał widzieć w niej „swoją, która się zagubiła", a nie „obcą". W przypadku obecnej pierwszej damy podobny bufor nie istniał. Mimo że wiedza o jej krewnych jest znikoma, została niemal automatycznie przypisana do warstwy mieszczańsko-robotniczej, z której wywodzi się Karol Nawrocki. Z kolei jej praca w służbie

eprasa.pl e8f8128fed

celno-skarbowej (zawodzie niecieszącym się specjalnym prestiżem w oczach wielkomiejskich elit) tylko tę klasyfikację utrwala. Dlatego też obserwujemy odruch klasowej separacji, w którym dystans ideologiczny splata się z poczuciem kulturowej wyższości. Dla salonu nie jest to więc partnerka do dialogu ani nawet przeciwniczka w sporze, lecz ktoś spoza świata, z którym się rozmawia, bo nawet przelotny kontakt mógłby na „feministyczne arystokratki" sprowadzić podejrzenia spoufalania się z „plebejuszkami".

Nigdy nie będziesz szła sama?

Można było się spodziewać, że w trakcie trwającej nagonki przynajmniej środowiska feministyczne publicznie staną w obronie pierwszej damy. Wystarczyłoby powiedzieć: „Nie zgadzamy się z jej poglądami, ale nie akceptujemy klasowej pogardy wobec żadnej kobiety". Taka postawa była wręcz ich obowiązkiem jako manifestacja deklarowanego w feminizmie „siostrzeństwa". Co więcej, mogłaby ocieplić nadszarpnięty wizerunek ruchu, pokazując, że jego zasady obowiązują także wtedy, gdy dotyczą kobiet spoza ideologicznej wspólnoty. Stało się jednak inaczej, bo to właśnie media identyfikujące się z feminizmem uderzyły w Martę Nawrocką. Klasistowski tekst Natalii Waloch opublikowany na portalu „Wysokie Obcasy", sądząc po komentarzach, spotkał się z wyraźnym pozytywnym odzewem czytelniczek.

Ocena całej sytuacji wywołała jednak dwugłos. Pisarka i działaczka społeczna Magdalena Okraska diagnozuje dla „Tygodnika Solidarność": „Atak, jaki przypuszczono na postać Marty Nawrockiej po jej wywiadzie dla TVN, pokazuje przede wszystkim poziom klasizmu, który wciąż przyświeca liberałom i współczesnemu ruchowi feministycznemu, jakich wartości by nie deklarowali". Następnie poszła dalej, wskazując na głębszy problem: „Feminizm liberalny w teorii dostrzega siostrzeństwo kobiet, dba o jakość relacji między kobietami z różnych klas i wspiera wszystkie kobiety. Nie ma w tym słowa prawdy. Feministki liberalne uwiera i śmierdzi im każda kobieta, która nie spełnia ich wymogów estetycznych czy deklaruje odmienne wartości".

> DZIŚ FEMINISTYCZNE „SIOSTRZEŃSTWO" OKAZUJE SIĘ BYĆ WARUNKOWE: ZALEŻNE OD KLASY, STYLU ŻYCIA I KULTUROWEGO KODU.

Nieco łaskawsza dla współczesnego feminizmu jest publicystka i podcasterka Katarzyna Szumlewicz. Jej zdaniem mieliśmy do czynienia raczej z hejtem ze strony obozu liberalnego, który niesłusznie przypisano całemu feminizmowi. „Potem był zresztą hejt ze strony obozu konserwatywnego wobec Natalii Waloch. Feministki są przeciw hejtowaniu i jednej, i drugiej" – argumentuje, dodając, że kobiety w przestrzeni publicznej często stają się łatwym celem ataków, nawet jeśli nie sprawują realnej władzy. Zapytana o zjawisko, które można by nazwać „femiklasizmem", Szumlewicz inaczej opisuje jego proporcje: „Było coś takiego na przełomie lat 90. i 2000., może jeszcze do 2015 roku. Bochniarz i panie z jej kręgu, czyli np. Środa. Potem to stało się totalnie niemodne, nawet Kongres Kobiet udaje, że porusza socjalne kwestie. Waloch to z kolei funkcjonariuszka «Wyborczej», która boi się przeciwstawić górze". I podsumowuje: „Takie tendencje owszem są, ale feminizm ma dziś wiele oblicz, a to liberalno-centrowe jest stosunkowo najsłabsze".Widać więc wyraźnie, że rozmówczynie różnią się w ocenie skali klasistowskiego wpływu feminizmu liberalnego. Łączy je jednak przekonanie, że to właśnie komponent liberalny odpowiada za ton reakcji wobec Marty Nawrockiej. Spór dotyczy więc nie tego, czy problem istnieje, lecz jak szeroko jest rozpowszechniony.

Od socjalizmu do klasizmu

Uczciwa diagnoza współczesnego feminizmu musi uwzględniać fakt, że choć nurt ten nie porzucił całkowicie postulatów ekonomicznych, jak likwidacja „luki płacowej" czy parytety w zatrudnieniu (zwłaszcza w zawodach o wysokim prestiżu i wynagrodzeniu), to jednak wyraźne przesunięcie akcentów w stronę agendy kulturowej stało się faktem. Nie jest jednak przypadkiem, że znaczna część środowisk feministycznych weszła w ścisły sojusz z liberalizmem. Wcześniejszy flirt z radykalnym socjalizmem okazał się dla wielu z nich rozczarowujący. Symbolicznym rozrachunkiem z tym doświadczeniem był kanoniczny esej pt. „Nieszczęśliwe małżeństwo marksizmu i feminizmu" autostwa Heidi Hartmann z 1979 roku.

Po rewolcie 1968 roku, kiedy sojusz feminizmu z socjalistami (z postaciami go firmującymi, na czele

eprasa.pl e8f8128fed

z Evelyn Reed czy Kate Millett) wydawał się naturalny i intensywny, lata osiemdziesiąte przyniosły wyraźne przesunięcie ku feministycznej krytyce kultury i obyczaju. Feministki dostrzegły bowiem, że samo obalenie kapitalizmu nie oznacza automatycznej dekonstrukcji patriarchatu. Marksizm – jak argumentowała Hartmann – stawia w centrum kategorię klasy, nie płci; perspektywa klasowa bywa „ślepa na gender", a kobiece postulaty często traktowane są instrumentalnie, jako dodatek do „właściwej" rewolucyjnej walki. „Niedawne próby połączenia marksizmu i feminizmu w jedną całość nie mogą zadowolić nas jako feministek, gdyż podporządkowują feministyczne zmagania «szerszej» walce z kapitałem" – pisała Hartmann. I dodawała, że potrzebne jest albo uzdrowienie tego małżeństwa, albo rozwód.

Do pełnego rozwodu nie doszło, ale separacji trudno zaprzeczyć. Analiza złożonych przepływów ideowych w ruchach kobiecych przekroczyłaby ramy tego tekstu, warto jednak zauważyć pewną prawidłowość: współczesna myśl feministyczna w sposób niepisany skoncentrowała się przede wszystkim na kobietach, których podstawowe potrzeby ekonomiczne są już zabezpieczone. W centrum uwagi znalazły się inne formy opresji: związane z językiem, ciałem, reprodukcją, reprezentacją, symboliką czy nawet aranżacją przestrzeni miejskiej. Nie oznacza to zupełnego zaniku feminizmu socjalistycznego czy socjaldemokratycznego. Trudno jednak nie dostrzec, że najbardziej wpływowe i najczęściej cytowane myślicielki ostatnich dekad koncentrowały się przede wszystkim na kulturze, a nie ekonomii. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Sherry Ortner, Adrienne Rich, Judith Butler, Susan Faludi czy Rebecca Solnit.

WSPÓŁCZESNA MYŚL FEMINISTYCZNA SKONCENTROWAŁA SIĘ PRZEDE WSZYSTKIM NA KOBIETACH, KTÓRYCH PODSTAWOWE POTRZEBY EKONOMICZNE SĄ JUŻ ZABEZPIECZONE.

Podobne przesunięcie widać w polu tzw. kultury wysokiej i masowej. Feministyczne przekazy obecne w filmie, powieściach czy muzyce rzadko koncentrują się na doświadczeniu ubóstwa kobiet. Wystarczy przywołać najgłośniejsze feministyczne produkcje filmowe ostatnich dekad: „Ukryte działania", „Wonder Woman", „Obiecująca. Młoda. Kobieta.", „Małe kobietki", „Barbie" czy serial „Opowieść podręcznej". Zdecydowana większość tych narracji (częściowo z wyjątkiem „Ukrytych działań", gdzie pojawia się wątek klasowo-rasowy) operuje przede wszystkim w obrębie feminizmu kulturowego.

To przesunięcie ma swoje konsekwencje. Po pierwsze, prowadzi do środowiskowej izolacji znacznej części ruchu kobiecego, którego przedstawicielki coraz częściej przestają rozumieć realne problemy kobiet spoza własnego luksusowego getta; patrzą wręcz na uboższe „siostry" podejrzliwie, jak na potencjalne „ambasadorki patriarchatu", a nie partnerki we wspólnej walce. Po drugie, wejście w orbitę kapitałową liberalnych mediów oraz współpraca z instytucjami demoliberalnych państw wytworzyły swoisty, niepisany kontrakt: „My, liberałowie, chętnie was wesprzemy, ale pod warunkiem, że zajmiecie się «swoimi» babskimi tematami, takimi jak aborcja czy mansplaining, a kwestie kapitału i struktury gospodarczej pozostawicie nam, bo to nie na wasze małe urocze główki". Po trzecie wreszcie, w warunkach polskich konserwatyzm kobiet z klas uboższych tworzy dla wyemancypowanych (często od niedawna) mieszczek barierę estetyczno-kulturową. To ona prowadzi do lekceważenia, a czasem wręcz zanegowania problemów milionów kobiet, które nie mieszczą się w narracji nowoczesnej, liberalnej baśni. Jeśli więc feminizm ma pozostać ruchem emancypacyjnym, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chce być solidarny wobec wszystkich kobiet, czy jedynie pełnić rolę snobistycznej ozdoby klasowego awansu.

PRZEDSTAWICIELKI RUCHU KOBIECEGO CORAZ CZĘŚCIEJ PRZESTAJĄ ROZUMIEĆ REALNE PROBLEMY KOBIET SPOZA WŁASNEGO LUKSUSOWEGO GETTA.

eprasa.pl e8f8128fed

A mury mówią

W połowie lutego br. w Senacie PR został powołany parlamentarny Zespół ds. przeciwdziałania wandalizmowi i **nielegalnemu graffiti**.

Agnieszka Żurek

Pomysłodawczyni i przewodnicząca zespołu, senator Monika Piątkowska zapowiedziała, że zespół ten będzie pracować nad przygotowaniem rozwiązań legislacyjnych umożliwiających gminom czy przewoźnikom kolejowym reagowanie na przypadki wandalizmu czy rozszerzających przepisy Kodeksu karnego.

Wandalizm w rejestrze zabytków

– Uważamy, że ten problem trzeba nareszcie rozwiązać, dlatego powstał zespół – podkreśliła senator Piątkowska. Senator Waldy Dzikowski przekazał z kolei, że zaplanowano m.in. wypracowanie nowych przepisów ustaw o samorządzie gminy i budżetach samorządów, aby uzbroić samorządy w instrumenty prawno-finansowe.

Teoretycznie wszystko brzmi świetnie, jednak w świecie, gdzie ograniczenia wolności słowa postępują, a kontrola staje się wszechobecna, opracowywanie kolejnego narzędzia służącego monitoringowi ludzkich zachowań nie budzi mojego entuzjazmu. Tym bardziej że odpowiednie zapisy penalizujące wandalizm już w polskim prawie istnieją.

„Kto cudzą rzecz niszczy, uszkadza lub czyni niezdatną do użytku, podlega karze” – głosi art. 288 Kodeksu karnego. Sprawcy wandalizmu grozi kara pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat, a w przypadkach mniejszej wagi – grzywna, ograniczenie wolności lub więzienie do roku. Oprócz kary pozbawienia wolności sprawca ponosi odpowiedzialność finansową – jest zobowiązany do naprawienia wyrządzonej szkody. Bardziej surowe kary są przewidziane za zniszczenie miejsc pamięci czy zabytków.

NIE KAŻDA SZTUKA ULICZNA TO WANDALIZM, ALE RZECZ JASNA TAKŻE NIE KAŻDY NAPIS NA MURZE TO ARTYSTYCZNE DZIEŁO.

Nieufność wobec powoływania specjalnych komisji państwowych ds. walki z nielegalnym graffiti jest u mnie zapewne umotywowana historycznie. Napisy na murach pojawiały się na przestrzeni polskich dziejów niekoniecznie w celach niszczenia czyjegoś mienia, ale były reakcją na – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – ograniczа-



Fot. autorka

eprasa.pl e8f8128fed



Widoczny z trójmiejskiej kolejki SKM napis na murze znajdującym się pomiędzy stacjami Stocznia Gdańska i Gdańsk Główny wykonany przez anonimowego autora w reakcji na agresję Rosji na Ukrainę

nie wolności słowa. Bogatą tradycję ma tutaj Solidarność, a tworzone przez jej członków i sympatyków napisy – nielegalne w czasie powstawania – dziś mają wartość historyczną, a wiele z nich stanowi prawem chronione zabytki. Napisy na murach namalowane w latach 80. i komentujące ówczesną rzeczywistość polityczną są coraz częściej traktowane jako cenne zabytki historyczne i dokumenty epoki – świadectwa oporu społecznego wobec totalitarnej władzy. Niektóre z nich zostały wpisane nawet do rejestru zabytków. Są one poddawane regularnej konserwacji. Przykładem takiego dzieła jest namalowany na ścianie jednego z żoliborskich budynków symbol Solidarności Walczącej. Czasem, kiedy mury polskich ulic mówiły szczególnie głośno, był okres stanu wojennego.

CZASEM, KIEDY MURY POLSKICH ULIC MÓWIŁY SZCZEGÓLNIE GŁOŚNO, BYŁ OKRES STANU WOJENNEGO.

„Solidarności nie zamalujesz”

„Na murach budynków, zwłaszcza w trudno dostępnych miejscach, pojawiały się antyrządowe napisy, na przykład «WRONa skona», «Zima wasza, wiosna nasza», «Uwolnić więźniów politycznych», «Precz z komuną» czy «Telewizja kłamie» oraz hasła informujące i zagrzewające do buntu, na przykład «Orła wrona nie pokona» czy «Solidarność żyje». Były nielegalne, omijały monopol informacyjny władzy komunistycznej i stawały się trybuną wolnego słowa. Do 1983 nie były ujęte w przepisach prawa karnego, jednak traktowano je jak przestępstwo z różnych art. kk i de facto podlegały karze do 10 lat pozbawienia wolności. Od 1983 traktowane były jako wykroczenie i karane grzywną. Twórcy świadomie nawiązywali do akcji tzw. małego sabotażu z czasów II wojny światowej, malując kotwice Polski Walczącej, a następnie bazujące na tym symbolu kotwice Solidarności Walczącej” – pisze Ewa Chabros w „Encyklopedii Solidarności”.

„Szczególnie dużo napisów umieszczano na murach w okresie tzw. karnawału Solidarności. Wyrażały one poparcie dla strajkujących na Wybrzeżu, występowały przeciwko ustrojowi komunistycznemu, PZPR, MO, SB i ZSRR. Napisy były obecne również podczas stanu wojennego i do końca PRL. Miały podtrzymywać opór społeczny (hasła typu: «Solidarność żyje», «Solidarności nie zniszczysz», «Solidarności nie zamalujesz» oraz symbole Solidarności Walczącej oparte na kotwicy Polski Walczącej). Od sierpnia 1982 roku najpierw we Wrocławiu, a następnie również w innych miastach Polski pojawiały się graffiti Pomarańczowej Alternatywy. Na plamach po zamalowanych napisach i kotwicach Solidarności Walczącej malowano krasnoludki. Akcję zapoczątkował lider PA Waldemar Fydrych, tworząc prześmiewczą koncepcję tzw. malarstwa taktycznego, gdzie napis był tezą, plama po nim antytezą, a krasnoludek – syntezą” – wyjaśnia autorka.

Akcje Solidarności, jak już wspomniano, nawiązywały do działań polskiego podziemia podejmowanych podczas niemieckiej okupacji m.in. przez bohaterów książki „Kamienie na szaniec” – „Rudego”, „Zośki” i „Alka”. Ten ostatni zresztą w uznaniu jego zasług położonych na tym polu zyskał pseudonim „Kotwicki”.

eprasa.pl e8f8128fed

Za tę działalność w okresie II wojny światowej trafiało się na Pawiak bądź na Szucha. Powstałe wówczas symbole oporu wobec Niemców także są chronionymi dziś prawnie zabytkami. Historia patriotycznych graffiti sięga jednak jeszcze dalej, bo czasów zaborów. Na początku XIX wieku w Warszawie pojawiały się napisy wyszydzające rosyjskich okupantów, a tuż przed wybuchem powstania listopadowego na drzwiach Belwederu, gdzie mieszkał wielki książę Konstanty, partyzanci umieścili informację, że pałac ten został wystawiony na sprzedaż. Z kolei już po wybuchu powstania na ulicach pojawiły się napisy zagrzewające do walki z Rosją i wytrwania w niepodległościowym oporze.

Precz z Neronem!

Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy „spontaniczny” napis na murze to emanacja polskiego pragnienia wolności, jednak powoływanie specjalnego zespołu do walki z nielegalnym graffiti wydaje mi się przesadą i nie budzi mojego zaufania. Być może założenia są tu dobre, jednak sądzę, że wystarczy egzekwować w tym obszarze prawo już istniejące, zamiast tworzyć nowe.



Fot. Wikimedia Commons

Mural autorstwa Tadeusza Kurka upamiętniający 30. rocznicę powstania NSZZ „Solidarność” z podobizną bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Malowidło znajduje się na ścianie budynku lokalnej siedziby Solidarności w Ostrowcu Świętokrzyskim.

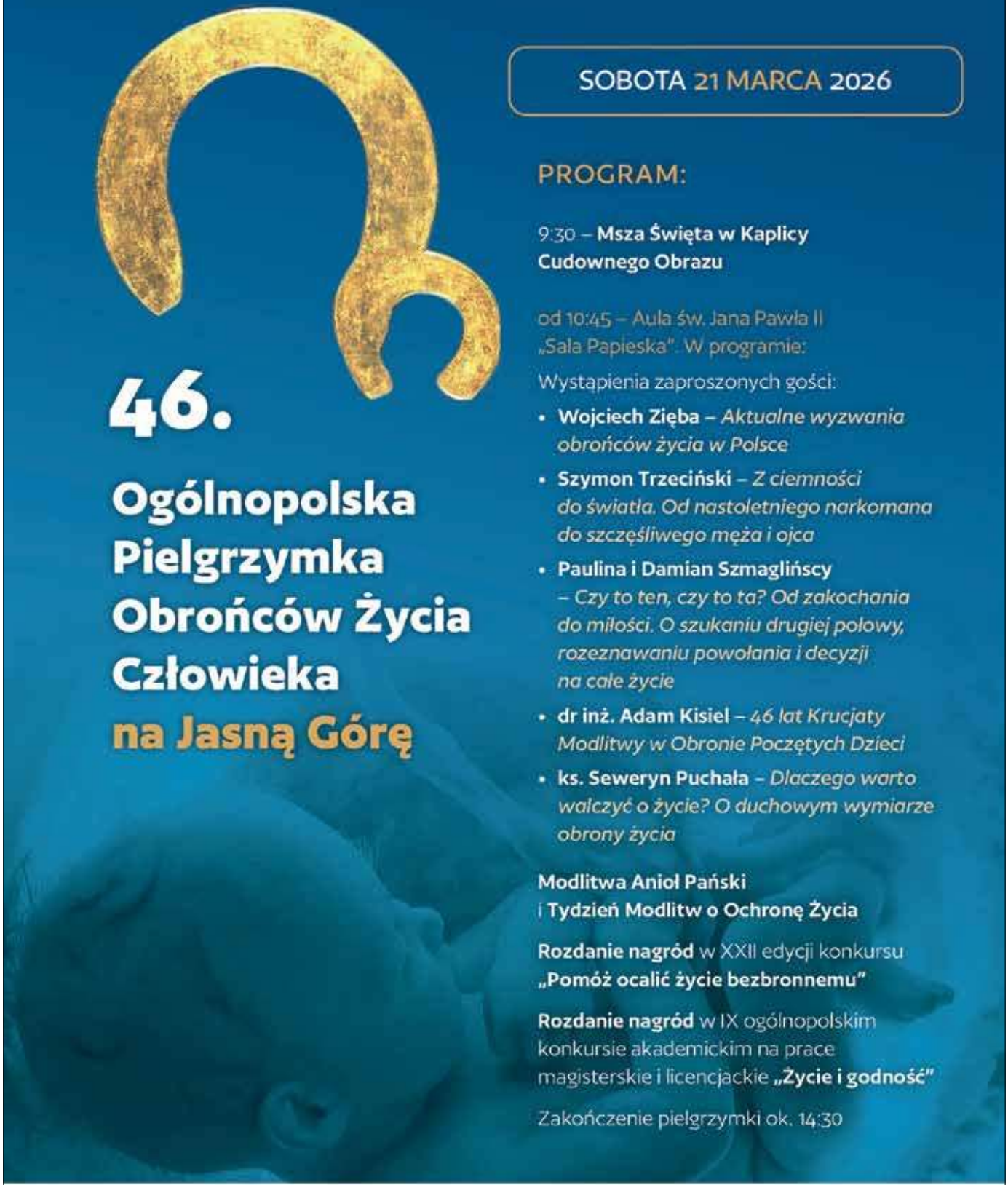
mieniu z odpowiednimi władzami, inne zostały namalowane nielegalnie, po czym przez władze zostały zaakceptowane w uznaniu dla ich wartości artystycznej.

Co ciekawe, napisy na murach krytyczne wobec władzy pojawiały się już w starożytności i dotyczyły np. Nerona, władcy niekoniecznie znanego z najbardziej przyjaznego wobec poddanych stylu rządzenia. Graffiti z natury rzeczy jest sztuką niepokorną i trudno mi sobie wyobrazić całkowite zamknięcie jej w urzędniczych ramach. Więcej mam tutaj zaufania do „mądrości ulicy” oraz do zdrowego rozsądku zarówno twórców tego rodzaju sztuki, jak i jej odbiorców. W latach 90., kiedy istniał jeszcze autorytet rodzicielsko-nauczycielski, kwestię nielegalnego graffiti regulował zazwyczaj dozorca posesji, na której powstało, oraz „sąsiedzki monitoring”. Jeśli „dzieło” było brzydkie, wulgarne i bez sensu, „artysta” zazwyczaj otrzymywał wiadro, szmatkę i szczotkę i poświęcał na jego usunięcie jakieś 20 razy więcej czasu, niż zajęło mu jego namalowanie. Jeśli z kolei napis wyrażał treść ważną w oczach opinii publicznej i powstawał np. na płocie czy murku, a nie na ścianie budynku, zdarzało się, że przymykano na niego oko lub bywał on nawet przyjmowany z aprobatą. Nie każda sztuka uliczna to wandalizm, ale rzecz jasna także nie każdy napis na murze to artystyczne dzieło. Wydaje mi się jednak, że wystarczy tu zdrowy rozsądek i egzekwowanie już istniejącego prawa. Powoływanie specjalnych komisji ds. walki z nielegalnym graffiti może wywołać efekt przeciwny do zamierzonego. Rozumiem wszystkie argumenty przeciwko napisom na murach, ale mimo to trudno mi jednak do końca zaakceptować, żeby o sztuce ulicy w 100% decydował urzędnik. Pomijając już kwestię tego, że to, co z kolei jest uznawane za sztukę wysoką i prezentowane w największych państwowych galeriach, choć „legalne”, bywa brzydsze i bardziej obrazoburcze niż najbardziej nawet nieestetyczne uliczne graffiti.

> TO, CO JEST UZNAWANE ZA SZTUKĘ WYSOKĄ, BYWA BRZYDSZE I BARDZIEJ OBRAZOBURCZE NIŻ NAJBARDZIEJ NAWET NIEESTETYCZNE ULICZNE GRAFFITI.

Patrzę nieufnie na senacką inicjatywę także dlatego, że historycznie sztuka ulicy często jest w Polsce domeną środowisk patriotycznych, mamy sporo murali upamiętniających Bitwę Warszawską, Powstanie Warszawskie, Powstanie Wielkopolskie czy Solidarność. Część z tych dzieł powstała w porozu-

eprasa.pl e8f8128fed



eprasa.pl e8f8128fed

KULTURA

Czytaj też:
Claret. Świętość i kłamstwo 64



NAGRYWAM SMUTNE PŁYTY i jestem wesołym człowiekiem

– Jeśli chcecie posłuchać muzyki, która zostanie z wami na dłużej, tekstów, które zahaczają o świat literacki, poetycki, które łączą się z moją muzyką, podbijają ją i zostawiają po sobie trwały ślad, a jednocześnie przy niektórych – potańczyć, a nawet pośpiewać pod prysznicem, to posłuchajcie płyty „Iskry” – mówi **Mateusz Franczak**, muzyk, autor tekstów, kompozytor, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Neil Milton

eprasa.pl e8f8128fed



„**Iskry**” to wyjątkowy projekt, wykraczający poza muzyczne granice. Alternatywne, intrygujące brzmienie w połączeniu z tekstową poezją Mateusza Franczaka tworzą niecodzienną opowieść o kondycji człowieka w obecnym świecie.

– Co w Twoim życiu wywołuje iskry?

– O! Bardzo wiele rzeczy. W przypadku mojego albumu „Iskry” to były częściowo sytuacje z mojej historii, częściowo te, o których usłyszałem lub o których się dowiedziałem. Były zarówno rzeczywiste, jak i wymyślone. Tutaj nie ma reguły. Zazwyczaj są to jakieś zdarzenia albo sytuacje międzyludzkie, które powodują, że coś zaiskrzy, coś mnie zainspiruje, coś wpłynie na to, jak postrzegam różne rzeczy, jak komponuję, jakie słowa pojawią się do danej piosenki czy jakie dźwięki zagrają mi w głowie.

– A co Cię inspiruje jako artystę do tworzenia trzeciej solowej płyty?

– Za każdym razem to jest coś innego. Pewnie i mnie samego zaskakują rzeczy, które mnie inspirują. To nie jest coś bardzo konkretnego. To mogą być sytuacje, to mogą być historie, o których usłyszałem. Połowa płyty to są historie, o których usłyszałem albo które sobie wyobraziłem z historii rodzinnych, z konkretnych lokalizacji, z zamierzchłych czasów. Sceny, które coś we mnie uruchomiły, zapośredniczone są też przez moją wyobraźnię. To nie były sceny, które widziałem, których doświadczyłem, tylko sceny, które coś otworzyły. Zazwyczaj były to relacje międzyludzkie albo coś związanego z ludźmi. To niekoniecznie musiały być historie dwóch osób. Czasem była to jedna. W przypadku niektórych piosenek na tej płycie są to moi dziadkowie.

BARDZO LUBIĘ POWIEŚĆ DZIEWIĘTNASTOWIECZNĄ.

– Na czym polega wyjątkowość Twojej płyty i jak wykracza ona poza muzykę?

– Wykracza w swoim ostatecznym obrazie, czyli w płycie, która ma nietypowy format, i co zabawne w środku wcale nie ma płyty, ponieważ już coraz mniej osób słucha muzyki z kompaktów. Winyle cały czas są popularne, ale chciałem zrobić coś innego. Chciałem, żeby ten materiał miał swój nośnik. To jest książka artystyczna, tak zwany art book. Zdjęcie na okładce oraz cały projekt graficzny zostały wykonane przez Adama Podwiśniewskiego, znakomitego artystę. W środku są ilustracje, które uzupełniają teksty piosenek, więc dla mnie to jest coś pomiędzy płytą, książką, tomikiem poetyckim a przedmiotem. W środku są linki do płyty w różnych serwisach streamingowych. Chciałem, żeby warstwa graficzna uzupełniała to, co znajduje się w tekstach i w samej muzyce. Zachęcam do czytania i przeglądania książki równolegle ze słuchaniem albumu.

– Ta forma artystyczna jest przyszłością czy już teraźniejszością w przestrzeni rynku muzycznego?

– Teraźniejszością. Coraz bardziej przechodzimy w stronę cyfrową, czy to nam się podoba, czy nie. Ja akurat jestem dość staroświecki. Nadal kolekcjonuję płyty, kupuję książki. Natomiast czy to jest przyszłość? Nie. Przyszłość dopiero przed nami. Zobaczymy, jak będą się rozwijały projekty.

JESTEM DOŚĆ STAROŚWIECKI. NADAL KOLEKCJONUJĘ PŁYTY I KUPUJĘ KSIĄŻKI.

– Czym się zajmujesz poza muzyką?

– Muzyka zawsze była dla mnie równoległym funkcjonowaniem. To znaczy, to nie jest tylko hobby. To oczywiście coś więcej. Muzyka jest dla mnie niezwykle ważna. Zależało mi też na tym, żeby mieć dużą niezależność. W związku z czym nie żyję z muzyki. No i właśnie dzięki temu, że mam inną pracę, mogę robić muzykę, takią jaką chcę.

– Gdzie pracujesz?

– Pracuję w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Zajmuję się czymś, co określamy jako humanistyka cyfrowa.

– Na czym to polega?

– Jest to połączenie cyfrowości, cyfrowych technologii, rozwiązań, infrastruktur i nowoczesnych narzędzi z badaniami literaturoznawczymi. To jest szerokie pole – od kwestii udostępniania i otwierania danych badawczych,

eprasa.pl e8f8128fed

publikacji naukowych, które są dostępne bezpłatnie dla wszystkich korzystających z internetu, po badania nad różnymi narzędziami, które ułatwiają pracę humanistów, rozszerzają ją, pokazują dodatkowe obszary pracy nad tekstem.

– Jaki jest Twój ulubiony okres literacki?

– Musiałbym to podzielić. Jeśli chodzi o powieści, to jestem dość staroświecki. Bardzo lubię powieść dziewiętnastowieczną, ale też dwudziesty wiek. Z drugiej strony jest krytyka literacka, którą też się interesuję. Dla mnie jest niezwykle ciekawa. A z poezji – wszystko. To ona najbardziej mnie inspiruje, jeśli chodzi o pisanie tekstów czy piosenek. Naprawdę nie mam jednego ulubionego okresu literackiego.

– Nie ubolewasz nad tym, że obecnie każdy może napisać książkę?

– Każdy pisze. Na pewno ułatwieniem jest to, że teraz każdy może udostępniać książki. Pytanie, czy to dobrze, czy niedobrze? Ja bym tego tak nie wartościował. Tak samo jest z muzyką i to już od lat. Kiedyś muzyką zajmowali się wyłącznie profesjonaliści, potem pojawiły różne nurty, między innymi punk rock, który wywrócił wszystko do góry nogami. Nagle się okazało, że każdy może tworzyć. Jeszcze wcześniej Joseph Beuys mówił, że każdy jest artystą. Oczywiście, wszyscy mogą nimi być. Pytanie, czy to, co jest prezentowane – w tej chwili jest natłok i nadprodukcja wszystkiego – niesie ze sobą jakąś wartość. Wierzę w to, że dobre dzieła się obronią i znajdą swoich odbiorców prędzej czy później. A kiepskie dzieła, nieudane, amatorskie, pewnie gdzieś przeminą, a może też znajdą swoich odbiorców i za ileś lat staną się na przykład dziełami kultowymi, tak jak film „The Room", który mi teraz przyszedł do głowy. Był strasznie kiczowaty, wszyscy się z niego nabijali, ale to była produkcja amatorska i stała się w pewnych kręgach kultowa i uznawana za wspaniały i zabawny film, z którego ludzie uczą się cytatów na pamięć.

PRACUJĘ W INSTYTUCIE BADAŃ LITERACKICH POLSKIEJ AKADEMII NAUK. ZAJMUJĘ SIĘ CZYMŚ, CO OKREŚLAMY JAKO HUMANISTYKA CYFROWA.

– Jaki kierunek studiowałeś?

– Kulturoznawstwo.

– Jak trafiłeś do Instytutu Badań Literackich?

– Jeszcze będąc na studiach, zacząłem interesować się kwestiami związanymi z otwieraniem dostępu do nauki. Zacząłem pracować w miejscach, które zajmowały się bezpłatnym dostępem dla wszystkich obywateli, obywatelek do rzeczy, które są wytwarzane i produkowane za publiczne pieniądze. Uważam, że jest to działanie misyjne, które otwiera dostęp do kultury.

– Jak długo już pracujesz w Instytucie?

– Szósty rok.

– Dlaczego Twoja płyta jest taka smutna? Ty jesteś bardzo pozytywnym gościem?

– Na pewno nie jest to sztuczne. Oddzielam pola – życie prywatne i życie artystyczne, które się przenikają. Działania twórcze są wynikiem tego, co dzieje się we mnie, w moim życiu, biorą się z moich przemyśleń i refleksji. Potem przelewam to na papier oraz muzykę. Staram się czasem gdzieś przemycić coś dowcipnego czy nadać piosence inne tło, ale rzeczywiście to, co mnie zajmuje tekstowo i muzycznie, to są rzeczy niełatwe. Może dzięki temu, że nagrywam smutne płyty, jestem wesołym, radosnym człowiekiem.

– Czy masz coś, czego nie mają inni artyści, coś, co świadczy o Twojej wyjątkowości?

– To były lata różnych działań muzycznych od muzyki instrumentalnej, eksperymentalnej, awangardowej, ambientowej, przez muzykę filmową, aż do momentu, w którym jestem teraz.

– Jakbyś przedstawił się osobom, które pierwszy raz o Tobie słyszą?

– Jeśli chcecie posłuchać muzyki, która zostanie z wami na dłużej, tekstów, które zahaczają o świat literacki, poetycki, które łączą się z moją muzyką, podbijają ją i zostawiają po sobie trwały ślad, a jednocześnie przy niektórych – potańczyć, a nawet pośpiewać pod prysznicem, to posłuchajcie płyty „Iskry". S

Mateusz Franczak

Artysta o wyjątkowym dorobku zarówno solowym, jak i w ramach licznych projektów zespołowych, m.in. Giorgio Fazer czy HOW HOW. Jego działalność obejmuje nie tylko muzykę, ale także interdyscyplinarne projekty artystyczne, warsztaty oraz współpracę z wybitnymi twórcami, takimi jak Hugo Race, Paweł Szamburski, Resina czy Hubert Zemler. Twórczość Franczaka, choć zanurzona w alternatywie, wykracza poza muzyczne schematy, eksplorując emocjonalne i artystyczne granice.

eprasa.pl e8f8128fed

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

CHARLI XCX – WUTHERING HEIGHTS
WYD. ATLANTIC



„Wuthering Heights" to płyta balansująca między popową formą a artystycznym eksperymentem. Charli XCX świadomie odchodzi od radiowej przewidywalności, stawiając na chłodne, momentami surowe brzmienia i emocjonalny dystans. Produkcja jest minimalistyczna, ale pełna napięcia, a wokal często brzmi jak narzędzie narracji, nie popis. To album wymagający – nie uwodzi od razu, lecz stopniowo odsłania warstwy melancholii, samotności i potrzeby kontroli nad własnym wizerunkiem.

CHET FAKER – A LOVE FOR STRANGERS
WYD. BMG



„A Love for Strangers" to intymna, nocna opowieść o relacjach, pragnieniach i emocjonalnym zagubieniu. Chet Faker łączy soulową wrażliwość z oszczędną elektroniką, tworząc gęsty, duszny klimat sprzyjający refleksji. Produkcja jest subtelna, oparta na rytmie i nastroju, a charakterystyczny, niski wokal nadaje całości zmysłowości. To płyta, która nie epatuje dramatem, lecz wciąga spokojem i szczerością, najlepiej brzmiąc w samotności lub po zmroku.

WRABEL – UP ABOVE
WYD. NETTWERK



„Up Above" to emocjonalnie szczery album oparty na osobistych doświadczeniach i relacjach międzyludzkich. Wrabel stawia na bezpośredni przekaz i wyrazisty wokal, który prowadzi słuchacza przez historie o dorastaniu, stracie i potrzebie bliskości. Aranżacje są oszczędne, popowe, ale nie banalne – służą tekstom i emocjom. To płyta pełna wrażliwości, która nie próbuje być efektowna, lecz autentyczna, dzięki czemu łatwo się z nią utożsamić.

JP COOPER – JUST A NEW FOLK
WYD. ISLAND



„Just a New Folk" to album oparty na prostocie i akustycznym brzmieniu, które podkreśla szczerość opowieści JP Coopera. Artysta skupia się na emocjach, codziennych obserwacjach i relacjach, unikając zbędnej produkcyjnej przesady. Ciepły wokal i folkowe aranżacje nadają całości intymny, niemal domowy charakter. To płyta spokojna, refleksyjna, idealna dla słuchaczy ceniących autentyczność i emocjonalną bliskość zamiast muzycznego rozmachu.

eprasa.pl e8f8128fed

FILM

Claret. Świętość i kłamstwo

Antoni Maria Claret y Clarà to wywodzący się z Hiszpanii święty Kościoła katolickiego żyjący w XIX wieku, określany czasem „św. Pawłem XIX wieku". Dzięki platformie Rafael Film poświęcony mu film, który powstał w 2021 roku, zobaczyć mogą teraz również polscy widzowie. I choć biografia Clareta sama w sobie jest fascynująca, **to nie jedyny powód**, dla którego warto zainwestować w dostęp do tego tytułu.

Krzysztof Karnkowski

Od Clareta jednak zacznijmy. Antoni Maria Claret y Clarà początkowo wcale nie zamierzał zostać księdzem, swoje plany wiążąc z rodzinnym biznesem, którym zajmował się już jako bardzo młody człowiek z dużym powodzeniem. Jednak wstrząs, jaki wywołało w nim oszustwo dokonane przez bliskiego współpracownika i łączące się z nim przemyślenia, popchnęły go do decyzji o wstąpieniu do seminarium. Księdzem został tuż przed tym, jak władze rozwiązały wszystkie zakony męskie, Hiszpania wkraczała w dziwny paroksyzm rewolucji i wojen domowych, które skomplikują życie również naszego bohatera.

Czarna legenda

Jako misjonarz trafi on na Kubę, gdzie jako wróg niewolnictwa i obrońca prześladowanych przez właścicieli katolickich niewolników stanie się z miejsca obiektem niechęci lokalnej elity. Ta podejmować będzie nawet próby zamachu na jego życie, na szczęście nieudane. Po powrocie do Hiszpanii trafi na dwór młodej królowej Izabeli II jako jej spowiednik. Choć będzie próbował trzymać się jak najdalej od polityki i intryg, będzie w nie wciągany wraz z całym krajem. Kilka lat później razem z królową będzie musiał opuścić Hiszpanię. Jednak pomimo to uda mu się założyć Zgromadzenie Misjonarzy Synów Niepokalanego Serca Maryi zwane powszechnie



Fot. kadr z filmu

eprasa.pl e8f8128fed

klaretynami, dwa zgromadzenia żeńskie i Akademię św. Michała. Jego wrogowie nie odpuszczą mu jednak i dorobią mu czarną legendę rozpustnika i utracjusza, posuną się nawet do wydawania zafałszowanych wersji jego dzieł. „Ponad wiek przed erą fake newsów, misjonarz-arcybiskup o imieniu św. Antoni Maria Claret padł ofiarą kampanii oszczerstw prowadzonej przez wyższe klasy Hiszpanii" – pisał po premierze filmu katolicki serwis Crux. Plotki o romansach Clareta zaowocują nawet ludową przyśpiewką (przypominają się esbeckie metody obrzydzania przeciwników politycznych, żywe w PRL, ale i ostatnio, po aresztowaniu ks. Michała Olszewskiego). Przypisywano mu nawet romans z królową, a plotki te krążyły jeszcze przez wiele, wiele lat. Umrze we Francji, w latach 30. XX wieku doczeka się beatyfikacji, a w roku 1950 – kanonizacji.

Biograf odkrywa prawdę

Włączając poświęcony arcybiskupowi Claretowi film, nie znałem jeszcze tej historii i życiorysem świętego zainteresowałem się dopiero po seansie. Można więc uznać, że spełnił on swoje zadanie. Nie spodziewałem się też po obrazie Pabla Moreny zbyt wiele, oczekując, że będzie to dość poprawna warsztatowo laurka. Byłem w błędzie. Moreno, znany producent i reżyser filmów o charakterze religijnym, znalazł bowiem sposób, by o swoim świętym bohaterze opowiedzieć za pośrednictwem autora jego biografii José Martíneza Ruiza (posługującego się pseudonimem Azorin), który po latach odkrywa, że został wprowadzony w błąd przez wspomnianych wyżej fałszerzy biografii duchownego. Na nowo poznaje jego historię, a my wraz z nim dowiadujemy się o kolejnych epizodach nie tylko z życia Clareta, ale też z historii Hiszpanii – o wojnie karlistowskiej, rewolucji i wymuszonej abdykacji Izabeli II. Co więcej, sam proces odkłamywania biografii Antoniego Marii Clareta rozgrywa się w latach 30. ubiegłego wieku, tocząc się równocześnie z kolejną wojną domową, tym razem toczoną przez przeciwników i zwolenników generała Franco. Sam José Augusto Trinidad Martínez Ruíz był postacią ciekawą, która przeszła drogę od konserwatywnego wychowania, przez anarchizujący radykalizm, aż do świadomego powrotu do konserwatyzmu. To właśnie jego działania i popularyzacja prawdy o misjonarzu przyspieszyły znacznie jego beatyfikację. Losy Ruiza z losami Clareta miały wspólny rys: i on musiał schronić się we Francji w czasie trawiącej jego ojczyznę wojny domowej.

TO CIEKAWA HISTORIA ARCYBISKUPA POKORNEGO WOBEC BOGA I JEGO WYROKÓW, LECZ NIE BOJĄCEGO SIĘ MOŻNYCH TEGO ŚWIATA.

ARCYBISKUP CLARET BYŁ WYRZUTEM SUMIENIA WŁAŚCICIELI NIEWOLNIKÓW I PRZYMYKAJĄCYCH OCZY NA ICH WYZYSK PRZEDSTAWICIELI WŁADZ.

Dwa wymiary

Film jest więc całkiem interesujący nie tylko jako opowieść o świętym misjonarzu i arcybiskupie, a trochę i o jego biografie, a także czasach, w których im obu przyszło żyć. Równie ciekawy okazuje się być jako opowieść o propagandzie, dezinformacji i fałszywych oskarżeniach. Znamy takie historie z Polski. Niektóre, jak potężna operacja niszczenia wizerunku św. Jana Pawła II, rozgrywają się na naszych oczach, inne powracają czasem w mediach, jak historia Gabriela Janowskiego; jeszcze inne, jak medialny i filmowy lincz na Andrzeju Kernie, są już dziś praktycznie zapomniane. A zło, jak wiemy, najmocniej uderza w dobro, które nie pozwala mu zapomnieć, że jest złem. Arcybiskup Claret był wyrzutem sumienia właścicieli niewolników, przymykających oczy na ich wyzysk przedstawicieli władz, a później dworskich intrygantów knujących, by obalić królową i podporządkować kraj siłom zewnętrznym. – Bardzo lubię postacie, które dodają innym godności, które są katalizatorami, niezależnie od statusu drugiej osoby – mówił po premierze filmu Moreno, wyjaśniając swoje motywy podjęcia tego tematu. – [Claret] zajmuje się niewolnikami na Kubie i królową w Hiszpanii, ale dla niego wszyscy mają równą godność ludzką i traktuje ich tak samo, niezależnie od ich statusu społecznego. Każdy ma swoje niedole, od niewolników po królową – zaznaczył. Pierwotnie film miał mieć premierę w 2020 roku, w 150. rocznicę śmierci arcybiskupa Clareta, jednak proces produkcji opóźniła pandemia COVID-19. W czerwcu 2021 roku, na przedpremierowym pokazie z udziałem reżysera i Antonia Reyesa, odtwórcy głównej roli, w Watykanie film obejrzał papież Franciszek. Później pokazywano go na wielu katolickich festiwalach, gdzie spotykał się z dobrym odbiorem krytyków i publiczności, doceniającej wielowymiarowość dzieła Pabla Moreny. Teraz wreszcie również polscy widzowie mogą zapoznać się z tą ciekawą historią arcybiskupa pokornego wobec Boga i Jego wyroków, lecz nie bojącego się możnych tego świata.

„Claret", reż. Pablo Moreno, wyst. Antonio Reyes, Carlos Cañas, Alba Redondo, Hiszpania 2021. S

eprasa.pl e8f8128fed

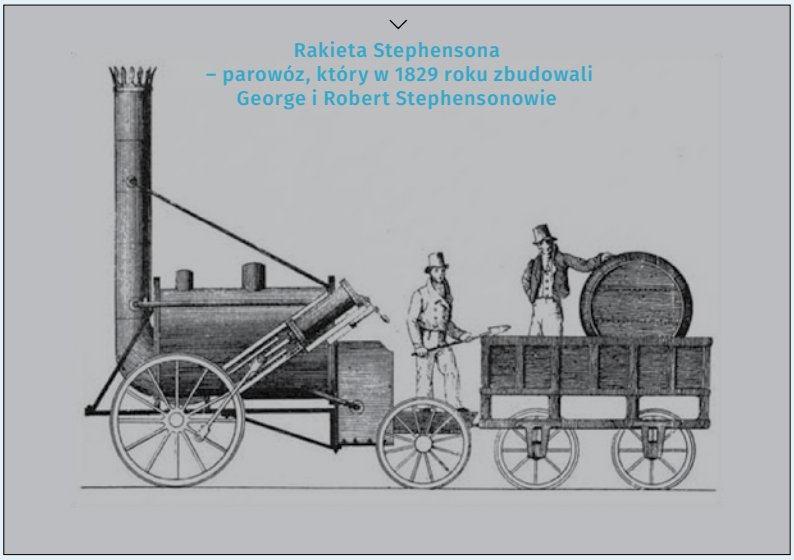
Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Eureka i śrubokręt

Ludzki umysł był dociekliwy już w chwili tworzenia w jaskiniach pierwszych pięściaków. Ale powstanie kaskady nowych rozwiązań technicznych, współpracujących i wspomagających się (choć i bezlitośnie konkurujących ze sobą) – o, to już nasze, albo całkiem niedawne czasy.

Historia przemian technicznych i gospodarczych należy do traktowanych najbardziej po macoszemu zarówno w programach szkolnych, jak i uczelnianych. Mikołaj Kopernik, Louis Pasteur, lokomotywa parowa – tak, to ma szanse zapamiętać przeciętny absolwent liceum; student humanistyki może jeszcze usłyszeć o barwnikach syntetycznych i narodzinach branży chemicznej, może jeszcze o niszczących maszyny luddytach, bo to blisko polityki; o prądnicach i transformatorach już nie, bo to „zbyt skomplikowane, nie dla humanistów". Reszta – systemy kodowania i sposoby pomiaru czasu, kucie matrycowe i świeżenie stali, a przede wszystkim – sposoby zarządzania wielkimi liniami produkcyjnymi, to wszystko zagadnienia dla nerdów: zbyt techniczne dla historyków, zbyt historyczne dla politechników.



Rakieta Stephensona – parowóz, który w 1829 roku zbudowali George i Robert Stephensonowie

Fot. Wikipedia

Tak być nie musi, ba, tak być nawet nie powinno: naprawdę nie trzeba być ortodoksyjnym marksistą, przekonanym o „prymacie bazy materialnej nad nadbudową", by zgodzić się, że przemiany naszego świata, które tak ogromnie przyspieszyły ponad dwa wieki temu, dokonywały się nie tylko za sprawą rewolucji politycznych, lecz – kto potrafi ocenić, w jakiej mierze przez mnie determinowanych? – rewolucji przemysłowych. Świat anglosaski potrafi o tym pisać: takie książki, jak „Strzelby, zarazki i stal" Jareda Diamonda (z angielską aliteracją i rytmem – „Guns, germs, and steel" – brzmi to jeszcze lepiej) od dekad utrzymują się na listach bestsellerów i tłumaczą jeden z fundamentów cywilizacji.

Czy „Wynalezienie wynalazczości" prof. Michała Kopczyńskiego, historyka techniki i gospodarki, ma szanse stać się czymś na kształt polskich „Strzelb, zarazków i stali"? Tak (choć można sobie wyobrazić kolejne wydania w twardej oprawie i z pokaźną liczbą ilustracji) – przede wszystkim za sprawą niezwykłej przejrzystości układu i odwagi ukazywania „szerszego obrazu". Perspektywy. Syntezy.

Monografii, not o poszczególnych wynalazkach mamy bowiem pod dostatkiem, w bibliotekach i na kanałach tematycznych. W „Narodzinach wynalazczości" wiele jest smaczków, ukazywania powiązań między technologiami, surowcami, obyczajami i życiem codziennym. Ot, choćby związek między konceptem miłości romantycznej a węglem kamiennym: dopóki domostwa ogrzewano drewnem, wygodniej było je palić na otwartym palenisku, w dużych izbach: dopiero ciężar spalin węgla kamiennego wymusił wznoszenie kominów i zamkniętych kominków. Tymi zaś można było ogrzać mniejsze pomieszczenia

eprasa.pl e8f8128fed

– stąd wydzielanie w domostwach mniejszych przestrzeni, w tym sypialni. Największą przewagą książki Michała Kopczyńskiego jest jednak to, że autor ani na chwilę nie traci z oczu horyzontu syntezy: narracji o „skokach cywilizacyjnych" i prowadzących do nich schodkach czy szczeblach. Encyklopedię nowych rozwiązań technicznych mógłby zestawić każdy erudyta: tylko dobry historyk jest w stanie oddzielić pierwszorzędne od trzeciorzędnego i nie utonąć w szczegółach.

Dobrze to widać, już patrząc na rozłożenie całości materiału: w porządku chronologicznym, ale i logicznym, opisane zostały pierwsze przypadki systemowej mechanizacji, prowadzącej do stworzenia przemysłu w miejsce rzemiosła (czyli dokonania w dziedzinie włókiennictwa), wydobycie i wykorzystanie węgla kamiennego, obróbka żelaza i stali, powstanie pierwszych silników, rewolucja transportowa i infrastrukturalna (nie tylko podręcznikowa „kolej": również systemy kanałów śródlądowych, odlewania szyn, konstruowania nowych nawierzchni drogowych, spór o wprowadzenie śruby jako napędu statków). W dalszej kolejności zaś: narodziny przemysłu chemicznego, przemysłu maszynowego („maszyny tworzące maszyny"), elektryczności, która pozwoliła na oddalenie źródeł energii od ich konsumentów (kto pamięta jeszcze, poza historykami i widzami „Ziemi obiecanej" Wajdy, koszmar przekładni i pasów wciągających w fabrykach dziesiątki ofiar?), wreszcie – obiegu informacji (telegraf, telefon, radiostacje) i ukoronowanie procesu uprzemysłowienia – stworzenie systemu fabrycznego, nowoczesnego managementu.

Książka ta świadomie nie jest doprowadzona do dzisiejszych czasów: chodzi w niej bowiem, podkreślam, nie o kompletny opis, lecz o wskazanie przemian założycielskich. Oczywiście, transport kołowy i lotniczy waży dziś, w miliardach ton i w życiu codziennym, więcej pewnie niż kolejowy: stworzenie jednak SYSTEMU transportowego, jakim była kolej, stanowiło większą rewolucję niż przejście od lokomotywy Richarda Trevithicka do „tanich lotów" i Tesli na parkingu. Podobną przemianą w kategorii obiegu informacji był druk, pisma ulotne, a wreszcie depesze, bez których nie byłoby współczesnych mediów – nawet jeśli dziś współtworzą je, o zgrozo, nieopisane w książce systemy LLM udające dziennikarzy.

Te (r)ewolucje, wyodrębnione w poszczególnych rozdziałach, pozostawały oczywiście wzajemnie powiązane: XIX-wieczna kolej nie ruszyłaby bez wydobycia węgla kamiennego, udoskonalenia silnika parowego i sposobów odlewania żeliwa, a następnie stali; ale z kolei branża węglowa nie miałaby szans rozwinąć się i zapobiec wielkiemu kryzysowi energetycznemu, jakiego doświadczała późnonowożytna Europa, która wycięła już swoje lasy, gdyby nie kolej umożliwiająca tani transport relatywnie niedrogiego surowca. Podobnie ze współzależnością między elektrycznością a kształtem budynków fabrycznych, odlewnictwem stali a budową narzędzi precyzyjnych (bez których nie ma nowy ani o nawigacji, ani o pomiarach, ani o elektryfikacji). „Murarz domy buduje,/ Krawiec szyje ubrania,/ Ale gdzieżby co uszył,/ Gdyby nie miał mieszkania?". Piekielnie trudno jest opisać współzależność systemów, którą stoi nasza cywilizacja.

W tle książki obecne zaś są jeszcze co najmniej dwie opowieści. Pierwsza – rozpoczęta w pierwszym rozdziale, ale przywoływana na kolejnych etapach i w kolejnych latach – o rozróżnieniu między wynalazkiem i innowacją, o którym stanowi nie tylko zastosowanie wynalazku na szeroką skalę, wprowadzeniu go do obiegu gospodarczego, bez czego pozostaje ciekawostką, gadżetem, znaną starożytnym „turbiną Herona" – ale i motywacje, i rodowód wynalazcy: czy jest uczonym, którego interesuje „deszyfrowanie Natury", ustalanie jej praw, innymi słowy – badania podstawowe? Czy genialnym samoukiem poszukującym rozwiązania konkretnego problemu, ale zarazem wolnym od ograniczeń, które stawiają umysłowi rutyna i normy? Czy najemnym pracownikiem korporacyjnego lub rządowego laboratorium badającym setki próbek, skupionym na poszukiwaniu dobrze rokujących rozwiązań wdrożeniowych?

I druga opowieść, jeszcze rzadsza w Polsce, a łącząca się z tą pierwszą: opowieść o stojących za nauką pieniądzach i niezbędnych do jej uprawiania środkach. To nie tylko kwestia łutu szczęścia, ambicji, „dobrego urodzenia" czy ożenku (choć w XVIII wieku, kiedy rozpoczyna się opowieść, to podobne kwestie rozstrzygały o powodzeniu projektu!). To wielkie gry polityczne o zakres ochrony patentowej rozpoczynające się na królewskich dworach, z czasem zaś rozstrzygane przez parlamenty; to rozmaite sposoby rozumienia roli państwa (prof. Kopczyński wielokrotnie wraca do różnicy między etatystyczną Francją Burbonów a Wielką Brytanią Stuartów przekonaną o potrzebie nieingerowania w gospodarkę – różnicy, która dała Wyspie 'headstart', początkową przewagę podczas rewolucji przemysłowej). Ale też – narodziny systemów finansowania nauki: na siedmiu stronach udało się umieścić historię jej ewolucji w USA od radosnego leseferyzmu, po pierwsze laboratoria pracujące na rzecz armii podczas I wojny światowej, po powstanie agencji NASA i ARPA, z budżetami liczonymi w setkach milionów dolarów rocznie. Gdyby jeszcze po tę książkę zechcieli sięgnąć polscy ustawodawcy!

Michał Kopczyński, „Wynalezienie wynalazczości. Innowacje w epoce rewolucji przemysłowej", Oficyna Mówią Wieki, Warszawa 2026.

eprasa.pl e8f8128fed

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

POGOTOWIE PROTESTACYJNE W OCHRONIE ZDROWIA. „Nie będzie naszej zgody na działania antypracownicze i antyspołeczne”



Fot. M. Żegliński

Rada Krajowej Sekcji Służby Zdrowia NSZZ „S” podjęta decyzję o rozpoczęciu pogotowia protestacyjnego. W przyjętym 19 lutego stanowisku związkowcy napisali, że system polskiej opieki zdrowotnej znalazł się w głębokim kryzysie, a „Ministerstwo Zdrowia zamiast kreatorem, staje się likwidatorem publicznej służby zdrowia”.

Wskazywali na likwidacje oddziałów szpitalnych, w tym ginekologiczno-położniczych i noworodkowych, a także zarzucili obecnemu kierownictwu resortu zdrowia, że zamiast podejmować decyzje zwiększające spływ składki zdrowotnej, „przerzuca odpowiedzialność za deficyt finansowy na pracowników służby zdrowia, szukając oszczędności w ich portfelach”.

„Stanowczo podkreślamy, że do czasu wprowadzenia sprawiedliwego systemu poboru składek na ubezpieczenie zdrowotne nie będzie naszej zgody na jakiekolwiek zmiany w ustawie o sposobie ustalania najniższego wynagrodzenia zasadniczego niektórych pracowników zatrudnionych w podmiotach leczniczych. Nie będzie naszej zgody na działania antypracownicze i antyspołeczne” – zaznaczyła Solidarność.

Związkowcy ostrzegli, że będą protestować przeciwko jakimkolwiek „jawnym lub ukrytym próbom prywatyzacji i łamania praw pracowniczych”.

PIKIETA JSW KOKS

Pracownicy JSW KOKS pikietowali 20 lutego w Dąbrowie Górniczej przed bramą największej koksowni należącej do spółki – Koksowni Przyjaźń. Związkowcy z Solidarności wyjaśniali, że protestują przeciwko decyzji Zarządu dotyczącej niewypłacania w tym roku premii miesięcznych. Taka decyzja skutkowałaby obniżką ich pensji o około 500 zł brutto miesięcznie.

Związkowcy postanowili 11 lutego wejść w spór zbiorowy z pracodawcą i zorganizować pikietę, ponieważ – ich zdaniem – kierownictwo firmy prowadziło dotąd tylko pozorowany dialog na temat polityki płacowej.

eprasa.pl e8f8128fed


Fot. M. Zegliński

„W tym roku ma nastąpić rewizja systemu ETS. Postulujemy powstrzymanie zapowiedzianej likwidacji darmowych pozwoleń na emisję”.

Andrzej Karol, szef Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „S”, posiedzenie RDS, 23 lutego br.

Pikieta przed koksownią przyniosła pewien skutek. Delegacja Solidarności spotkała się z przedstawicielami Zarządu JSW KOKS, a w wyniku rozmów doszło do wstępnego zbliżenia stanowisk w kwestii premii.

POROZUMIENIA RZESZOWSKO-USTRZYCKIE

Minęło 45 lat od czasu podpisania Porozumień Rzeszowsko-Ustrzyckich. W ten sposób zakończyły się trwające przez półtora miesiąca protesty rolnicze. Pierwszą umowę z władzami PRL zawarto 19 lutego 1981 roku w Rzeszowie, a drugą dzień później w Ustrzykach Dolnych.

Chłopom nie udało się przekonać komunistów do zgody na powołanie rolniczej Solidarności – ten postulat został zrealizowany kilka miesięcy później, 12 maja, gdy zarejestrowano NSZZ Rolników Indywidualnych „S”.

Chłopi wywalczyli jednak szereg innych praw, takich jak między innymi: gwarancje nienaruszalności własności chłopskiej z prawem do dziedziczenia, zniesienie ograniczeń w obrocie gruntami rolnymi, zrównanie praw rolników indywidualnych z rolnictwem państwowym i spółdzielczym czy dostęp do praktyk religijnych w więzieniach, wojsku, a także dla dzieci na koloniach. Protestujących rolników wspierały Solidarność i duchowieństwo diecezji przemyskiej z jej ordynariuszem abp. Ignacym Tokarczukiem.

Wydarzenia sprzed 45 lat uczczono 22 lutego w Rzeszowie ,począwszy od Mszy Świętej, a następnie składając kwiaty pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki oraz tablicą upamiętniającą podpisanie porozumień. Na koniec wysłuchano konferencji, w czasie której dr Marcin Bukała z rzeszowskiego IPN wygłosił referat pt. „Fenomen strajków chłopskich i porozumień w Ustrzykach Dolnych i Rzeszowie”.

Wśród rolników, parlamentarzystów i samorządowców biorących udział w obchodach byli także członkowie Zarządu Regionu Rzeszowskiego NSZZ „Solidarność”. Do uczestników wydarzenia list skierował prezydent Karol Nawrocki, a odczytał go jego doradca, a zarazem przewodniczący NSZZ RI „S” Tomasz Obszański.

PROTEST PRZED SZPITALEM

Blisko stu działaczy Solidarności protestowało 24 lutego przed szpitalem w Bychawie. Związkowcy skarżyli się na utrudnianie działalności związkowej i domagali się przywrócenia do pracy członka Solidarności, któremu „w wypowiedzeniu zarzucono, że w sądzie pracy zeznawał na niekorzyść pracodawcy”.

Wypowiedzenie otrzymała także pracownica szpitala należąca do Solidarności. Również w tym przypadku związkowcy domagają się cofnięcia tej decyzji.

Po trzecie, lubelińska Solidarność zażądała wycofania kary nagany wobec członka komisji zakładowej. W ich ocenie kara była niesłuszna.

Przewodniczący Zarządu Regionu Ireneusz Pszczoła zaznaczył, że wcześniej zwolniono dyscyplinarnie przewodniczącą Solidarności w SPZOZ w Bychawie.

– Pomówiono ją o narażenie szpitala na straty. Te wszystkie sprawy są w sądzie. Natomiast my jako związek zawodowy nie możemy pozwolić na to, żeby zepchnięto nas na sale sądowe, bo to ma jeden cel – zastraszenie pozostałych pracowników i członków Związku. Pracodawca sobie wkalkulowuje, że może za 2–3 lata zapłaci kilka tysięcy odszkodowania, ale nie będzie miał organizacji – stwierdził przewodniczący Pszczoła, cytowany przez Polskie Radio Lublin.

M.K.

Kalendarium Solidarności

8–9.03.1981 – w trakcie krajowego zjazdu niezależnych organizacji chłopskich powstaje Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność”, Jan Kułaj zostaje wybrany na przewodniczącego;

9.03.1983 – Anna Walentynowicz zostaje skazana przez sąd w Grudziądzu na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu za organizację strajku w grudniu 1981 r.

7.03.1984 – w szkole w Miętnem na Mazowszu uczniowie rozpoczynają strajk okupacyjny przeciwko usuwaniu krzyży z sal lekcyjnych. Wzięło w nim udział około 400 z 600 uczniów.

eprasa.pl e8f8128fed

PRACOWNICY I PRACODAWCY SOLIDARNIE
przeciwko ograniczaniu środków na Fundusz Pracy

Dwie ważne uchwały przyjęły podczas ubiegłotygodniowego posiedzenia plenarnego Rady Dialogu Społecznego strona pracowników i strona pracodawców. Obie wyrażają oburzenie ostatnimi decyzjami rządu.

Barbara Michałowska



Fot. M. Zegliński

W ubiegły poniedziałek, 23 lutego, w Warszawie odbyło się posiedzenie plenarne Rady Dialogu Społecznego.

Strona pracowników oraz strona pracodawców przyjęły dwie ważne uchwały dotyczące ograniczenia środków na Fundusz Pracy oraz w sprawie konsultacji przy pracach nad projektem ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy.

40% mniej na przeciwdziałanie bezrobociu

Strona pracowników i pracodawców Rady Dialogu Społecznego wyrażają głębokie obawy odnośnie do planu finansowego Funduszu Pracy na 2026 r.

„Zestawienie danych dotyczących poziomu środków przeznaczonych na finansowanie programów promocji zatrudnienia i aktywizacji zawodowej wskazuje na wyraźne zmniejszenie skali finansowania w porównaniu z rokiem poprzednim. W 2025 r. na realizację tych zadań przeznaczono kwotę 3 652 108 000 zł, natomiast w ustawie budżetowej na 2026 r. ujęto 2 147 808 000 zł. Oznacza to redukcję przekraczającą 1,5 mld zł, co odpowiada spadkowi o ponad 40%” – napisano w uchwale.

W ocenie partnerów społecznych RDS obecna konstrukcja planu finansowego Funduszu Pracy na 2026 r. prowadzi do ograniczenia krajowych instrumentów aktywnej polityki rynku pracy w skali, która może oddziaływać na zdolność systemu do realizacji ustawowych zadań.

„Dotyczy to zarówno wsparcia osób bezrobotnych i poszukujących pracy, jak i instrumentów kierowanych do pracodawców, między innymi prowadzących przygotowanie zawodowe młodocianych pracowników, w szczególności sektora małych i średnich przedsiębiorstw, w tym rzemiosła” – czytamy w uchwale.

Potrzeba wzmocnienia udziału partnerów społecznych

Strona pracowników i pracodawców Rady Dialogu Społecznego wskazała ponadto, że zmniejszenie poziomu finansowania następuje w okresie wdrażania nowych rozwiązań

eprasa.pl e8f8128fed

ustawowych oraz realizacji działań rozwojowych przewidzianych w Planie Rozwoju Publicznych Służb Zatrudnienia na lata 2025–2027.

„Spójność pomiędzy zakresem zadań a zapewnionym finansowaniem stanowi podstawowy warunek efektywnego funkcjonowania instytucji rynku pracy" – podkreślili autorzy uchwały.

Równocześnie strona pracowników oraz pracodawców Rady Dialogu Społecznego wskazuje na konieczność wdrożenia reform systemowych w obszarze Funduszu Pracy.

„Zmiany te powinny służyć zwiększeniu transparentności i efektywności wydatkowania zgromadzonych środków, a także wzmocnieniu udziału partnerów społecznych w procesach decyzyjnych dotyczących ich dystrybucji. Takie podejście nie tylko zwiększy społeczną legitymację działań Funduszu, ale również pozwoli na lepsze dopasowanie programów wsparcia do rzeczywistych potrzeb gospodarki" – czytamy w dokumencie.

Bezrobocie rośnie, a finansowanie Funduszu Pracy się zmniejsza

– Mamy informację, że w styczniu poziom bezrobocia sięgnął 6%. Po analizie liczby nowych ofert pracy zgłaszanych przez firmy widać wyraźny spadek. Pojawia się więc pytanie o reakcję Funduszu Pracy, czyli o środki przeznaczone na przeciwdziałanie bezrobociu oraz wsparcie osób bezrobotnych i zagrożonych utratą pracy, w tym ludzi młodych rozpoczynających karierę zawodową. Obecnie w większości, a właściwie we wszystkich województwach, można spodziewać się wzrostu bezrobocia. Jednocześnie budżet Funduszu Pracy jest ograniczany średnio o 40% – mówił podczas obrad przedstawiciel Solidarności Jarosław Lange.

– Przypomnę, że Fundusz Pracy jest funduszem celowym, który ma służyć przeciwdziałaniu bezrobociu – dodał, podkreślając potrzebę przywrócenia przez rząd środków, które będą w tej sytuacji niezbędne, oraz zaznaczając, że przy ograniczeniu Funduszu Pracy sytuacja może niebawem stać się dramatyczna.

STRONA PRACOWNIKÓW I PRACODAWCÓW RADY DIALOGU SPOŁECZNEGO WYRAŻAJĄ GŁĘBOKIE OBAWY ODNOŚNIE DO PLANU FINANSOWEGO FUNDUSZU PRACY NA 2026 R.

Przedstawiciele Solidarności podkreślają także, że rząd działa nieracjonalnie, przeznaczając miliony złotych z Funduszu Pracy na pilotaż skróconego czasu pracy, a jednocześnie tak radykalnie go ograniczając.

„Dialog na etapie prac rządu był nieefektywny"

Pracownicy i pracodawcy jednym głosem mówią także o braku rzetelnych konsultacji społecznych nowej ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. Dziś podjęli uchwałę także w tej sprawie.

„Strona pracowników i pracodawców RDS wyraża głęboki sprzeciw wobec projektu ustawy o PIP i apeluje do parlamentu o podjęcie w nadzwyczajnym trybie dodatkowych konsultacji tego projektu" – napisano w uchwale.

Strona społeczna uważa, że sposób prowadzenia dialogu na etapie prac rządu był nieefektywny. „Projekt w kształcie zaproponowanym przez rząd i przesłany do Sejmu zawiera jeszcze zbyt wiele rozwiązań, które wymagają doprecyzowania i zmian" – podkreślono w dokumencie.

Przypomnijmy, nowy projekt dotyczący Państwowej Inspekcji Pracy został skierowany do konsultacji społecznych dopiero po liście, który do minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk wystosował Piotr Duda. Wówczas przekazano projekt i dano partnerom społecznym siedmiodniowy termin na zaopiniowanie go. Członkowie Prezydium KK NSZZ „Solidarność" w wydanej opinii podkreślali, że termin jest zdecydowanie zbyt krótki, aby dogłębnie przeanalizować projekt i rzetelnie go ocenić.

Alarm dla hutnictwa

Przedstawiciele związków zawodowych, a także pracodawców alarmowali podczas tych samych obrad o dramatycznej sytuacji polskiego hutnictwa. Mówili o utracie konkurencyjności, zalewie importowanej stali, rosnących kosztach energii i braku realnego dialogu z rządem.

– My już nawet nie mówimy o Azji. Na początek niech doprowadzą do tego, żeby w Unii Europejskiej Polska miała podobne warunki w cenie energii jak pozostałe kraje – podkreślał w rozmowie z Tysol.pl przewodniczący Rady Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „Solidarność" Andrzej Karol, który na forum Rady mówił o rosnących kosztach produkcji stali i jej niekontrolowanym imporcie.

eprasa.pl e8f8128fed

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Panie Tomku, dziś porozmawiamy na temat nadchodzącego Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”.

Tomek: – Przygotowałem zdjęcie z 1 marca 2021 roku zrobione na Placu Trzech Krzyży w Warszawie podczas obchodów Dnia Żołnierzy Wyklętych. Od 16 lat odbywa się marsz, który rusza z Placu Na Rozdrożu przy Ambasadzie Rosji do ul. Rakowieckiej. Sprawą Żołnierzy Wyklętych zajmował się również Lech Kaczyński.

– To zdjęcie mi się podoba z dwóch powodów. Po pierwsze – widać na nim sztafetę pokoleń. Ojciec i syn razem wspominają zasłużonych dla Polski Wyklętych. To daje nadzieję, że pamięć o nich będzie trwała.

– Poza tym widoczny na zdjęciu człowiek ma na twarzy maskę wcale nie dlatego, żeby nie był widoczny. To – jak pamiętamy – czasy pandemii i wówczas na protestach pojawiali się ludzie w nie wyposażeni. To też znak czasów.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl e8f8128fed

PRAWO

SUROWE KARY DLA KIEROWCÓW,
czyli czego spodziewać się na drodze?

Słyszałem, że od końca stycznia 2026 r. weszły nowe przepisy dla kierowców, które przewidują dla nich bardzo surowe kary. Podobno grożą wysokie grzywny, konfiskata samochodu, a **nawet więzienie** za rażące wykroczenia. Czy to prawda i kogo dotyczą te zmiany?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Tak, od 29 stycznia 2026 r. w Polsce zaczęły obowiązywać nowe przepisy dotyczące bezpieczeństwa ruchu drogowego, które wprowadzają znacznie bardziej rygorystyczne sankcje wobec kierowców dopuszczających się rażących naruszeń prawa. Zmiany wynikają z nowelizacji Prawa o ruchu drogowym i Kodeksu karnego i mają na celu ograniczenie najgroźniejszych zachowań na drogach. Nowe przepisy obejmują zarówno przestępstwa, jak i wykroczenia, które wcześniej były karane głównie mandatami lub krótkotrwałym zatrzymaniem prawa jazdy, ale teraz przewidziano za nie znacznie surowsze konsekwencje. Najważniejsze zmiany dotyczą kierowców, którzy prowadzą pojazd w sposób stwarzający zagrożenie dla życia lub zdrowia innych uczestników ruchu drogowego, biorą udział w nielegalnych wyścigach ulicznych, prowadzą pojazd pod wpływem alkoholu lub środków odurzających, a także tych, którzy mimo sądowego zakazu prowadzenia pojazdów dalej siadają za kierownicą. W takich przypadkach wprowadzono odpowiedzialność karną z możliwością pozbawienia wolności. Nowe przepisy przewidują również dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów dla osób, które wielokrotnie łamały zakaz kierowania lub dopuściły się szczególnie niebezpiecznych wykroczeń, a także umożliwiają policji konfiskatę pojazdu w przypadku poważnych naruszeń. Zmiany objęły również system kar finansowych. Wprowadzono wyższe grzywny za wykroczenia drogowe, szczególnie te, które wcześniej były traktowane jako mniej istotne, a teraz mają realny wpływ na bezpieczeństwo ruchu drogowego. Przykładem mogą być kary za udział w nielegalnych zlotach motoryzacyjnych, drift czy jazdę „na jednym kole". Podobnie sankcje za recydywę kierowców prowadzących pojazd mimo zakazu zostały zaostrzone, a sądy mają obowiązek brania pod uwagę wcześniejszych wykroczeń przy wymierzaniu kary. W praktyce oznacza to, że kierowcy muszą liczyć się z możliwością wszczęcia postępowania karnego, a nie tylko nałożenia na nich mandatu. Funkcjonariusze mogą od razu zatrzymać prawo jazdy i pojazd, a sądy stosować surowe środki, w tym więzienie, zakaz prowadzenia pojazdów i konfiskatę samochodu. Zmiany mają charakter prewencyjny, ale też realnie chronią uczestników ruchu drogowego, ograniczając przypadki śmiertelnych wypadków spowodowanych przez rażąco nieodpowiedzialnych kierowców. Warto też zwrócić uwagę, że nowe przepisy wymagają od kierowców większej ostrożności i odpowiedzialności. Nawet dotychczas stosunkowo drobne wykroczenia mogą teraz prowadzić do poważnych konsekwencji, szczególnie jeśli są powtarzane lub połączone z innymi naruszeniami. Dlatego kierowcy powinni dokładnie zapoznać się z nowymi regulacjami i stosować się do obowiązujących zasad, aby uniknąć surowych sankcji.

Podsumowując, od 29 stycznia 2026 r. zmieniło się wiele w polskim prawie drogowym. Kierowcy powinni pamiętać o większej odpowiedzialności, możliwych karach karnych, dożywotnich zakazach prowadzenia pojazdów, konfiskacie samochodu i wyższych grzywnach. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl e8f8128fed

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Nagrywam..., s. 60), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Barbara Michałowska (Wyrzucić..., s. 10), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Remigiusz Okraska (Przegapiona..., s. 9), publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 66), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Konrad Wernicki (SAFE..., s. 38), nasz redakcyjny specjalista od marketingu, nowych technologii, mediów społecznościowych i nowych rewirów polskiej pracy. Pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2017 roku.

Agnieszka Żurek (Przebudzeni..., s. 19), z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl e8f8128fed

HISTORIA TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Wydania Specjalne

„Tygodnika Solidarność. Historia”

w prenumeracie



Cena: 49,99 zł za cały rok

Zamów prenumeratę na 2026 r.

obejmującą wszystkie 4 przyszłe Wydania Specjalne

Zamówienia można składać na:
marketing@tygodniksolidarnosc.com

eprasa.pl e8f8128fed



#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności